Nr. 216. Lwów — Wtorek dnia 21 Września. Rok 1897.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . 6 „
Numera z poprzedniche dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne" jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Za zmianę adresu dopłaca się ... Opłatę należy nadsyłać ... z żądaniem zmiany adresu.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce ...
W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo tłustym petitem po . . . . . . 5 „
tłustym garmondem po . . . . 8 „
Korespondencye prywatne za każde słowo tłustym petitem po . . . . . . 5 „

Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . 20 ct. | Nekrologia . . 20 ct.
Ogłoszenia do Przeglądu przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 5.
Ogłoszenia nad przeglądem politycznym 50 ct. od wiersza.

Dziś:	św. Mateusza Ap.	Joakima	Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.	Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.*	Wschód słońca o 5 m. 52	Długość dnia g. 12 m. 2
Jutro:	św. Maurycego B.	Mynodory M.			Zachód „ 5 „ 54	Ubyło dnia od wczoraj 4 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 20 września.

Ksiądz Stojałowski pogodził się z Kościołem. U stóp Stolicy Apostolskiej złożył następujące oświadczenie:

„Podpisany, oświadczam zupełnie dobrowolnie i z zupełną szczerością:

„1) Szczerze, z całkowitą uległością i bez zastrzeżeń, przyjmuję wszystkie mojej osoby dotyczące, przez prawowitych przełożonych kościelnych wydane postanowienia, wyroki i cenzury, przedewszystkiem te, które wydała Kongregacya św. Officium.

„2) Potępiam i odwołuję wszystko, co publicznie lub prywatnie, bez należnej czci i obrażająco mówiłem, pisałem i czyniłem przeciw Biskupom i innym przełożonym kościelnym, oraz potępiam i odwołuję wszystko, cokolwiek nieprawdziwego i fałszywego powiedziałem i napisałem, odnośnie do praw, które ma Kościół święty co do nauczania swych dzieci, kierowania niemi i napominania ich we wszystkich przedmiotach, które bezpośrednio lub pośrednio pozostają w związku z chrześcijańską moralnością i dobrem ludów.

„3) Przyjmuję zupełnie i zamierzam w przyszłości stosować się do wszystkich reguł ustanowionych co do rozmaitych publikacyj i ich lektury przez Jego Świątobliwość Papieża Leona XIII w jego *Const. Officiorum* ze stycznia 1897 r.

„4) Uczynię ze swojej strony wszystko, co będzie możliwem, aby naprawić zgorszenie, jakie wywołałem szczególnie przez odprawianie Mszy św. w domach prywatnych, mimo interdyktu.

„Rzym, 5 wrz. 1897 r. *X. Stanisław Stojałowski.*

Po złożeniu tej deklaracyi, ksiądz Stojałowski wygłosił 8 września, w dzień uroczystości Narodzenia N. P. Maryi, przed delegatem papieskim, prokuratorem generalnym Zakonu O. O. Dominikanów, O. Hyacyntem Cormier, i przed dwoma kapłanami-świadkami, wyznanie wiary podług formuły Soboru Trydenckiego, poczem ów delegat papieski proklamował zdjęcie z niego interdyktu, następnie zaś w kościele św. Klaudyusza, przy którym znajduje się kongregacya O. O. Eucharystyanów, gdzie ks. Stojałowski przez czas pobytu w Rzymie mieszkał, odprawił on Mszę świętą.

Długą więc i trudną drogę przebył on, aby się pogodzić z Kościołem. Nie ustał, wytrwał, zerwał z przeszłością — i zacny cel osiągnął. O wiele krótszą i bez porównania łatwiejszą drogę pozostaje mu teraz przebyć: pogodzić się ze społeczeństwem. Ta droga dlatego jest krótsza i łatwiejsza od tamtej, że już po naprawieniu stosunków z Kościołem mało co pozostaje księdzu Stołajowskiemu dodać do zupełnego usunięcia waśni, jaka trwała między nim a ogółem polskim. Poróżnił się on z nim głównie dlatego, że się poróżnił z Kościołem, a gdy z tym się pogodził, możemy pierwsi wyjść na jego spotkanie i serdecznie wyciągnąć doń ręce. Pokój mu i jego rozdrażnionemu, zbolałemu duchowi! Niech tam, gdzie wywoływał cierpienie i sam niezawodnie cierpiał, znajdzie teraz ukojenie i równowagę. Może on z jednej strony, a my wszyscy z drugiej byliśmy nieraz zanadto porywczy, i przezto powstała ta przepaść, której pewnie ani on, ani myśmy nie chcieli. Niechże teraz będzie zapomnienie zupełne i tem większe z naszej strony, że dotąd sam tylko ksiądz Stojałowski, bez żadnej naszej pomocy, bez zachęty, pracował w Rzymie szczęśliwie nad usunięciem rozdziału. Kościół, jak tkliwa matka, opatrzył jego rany, kojący balsam lał w jego duszę, rozjątrzoną jadem walk świeckich, i skruszył kamienną skorupę żalu, — nie przyczyńmy się niczem do tego, aby nowa narosła!

Nielada zdolności posiada ks. Stojałowski. Hart rzadki, wytrwałość między nami niepospolitą, zapał i umiętność przemawiania do ludu. Te zalety, zużytkowane dobrze, mogą przynieść plon Kościołowi naszemu i społeczeństwu — idzie tylko o to, aby z obu stron była dobra wiara. Rozumiemy, że w czasach tak trudnych, jak dzisiejsze, tak przełamowych, różnice w przekonaniach, kędy szukać dobrej drogi, muszą być wielkie. Na to jesteśmy przygotowani i pragniemy tylko, — a sądzimy, że pragnie tego i ks. Stojałowski, — aby nigdy nie powstała wątpliwość o tem, że celem jego pracy jest tylko to, co zgodne z naszą religijną i narodową tradycyą.

Przed kilku dniami odbył się, jak wiadomo, w Lublanie walny zjazd Słoweńców, na który przybyli delegaci z Karyntyi, Styryi południowej, Istryi, Gorycyi, a jako goście radykalni posłowie na sejm zagrzebski Rukawina i Dawid Starcewicz, z Galicyi p. Barwiński i młodoczech Stransky z Morawii. Zjazd wypowiedział posłom słoweńskim w Radzie państwa zaufanie, zalecił im wytrwać w związku z większością „dopóki ona, niezależnie od chwilowych dążności, przeprowadza swój program", domaga się przeprowadzenia ścisłego równouprawnienia, zamianowania przychylnego Słoweńcom namiestnika dla Karyntyi, rozdzielenia styryjskiej Rady szkolnej krajowej na sekcye niemiecką i słoweńską, ostatecznego uporządkowania sprawy gimnazyum słoweńskiego w Cylei, tudzież mianowania w Styryi południowej tylko takich urzędników, którzy dokładnie władają językiem słoweńskim. Są to wszystko znane oddawna dezyderata Słoweńców, przeciwko którym ani ze stanowiska autonomii, ani ze stanowiska obowiązującej konstytucyi nie można nic nadmienić. Natomiast zjazd rozważnie uniknął domagania się złączenia prowincyj słoweńskich z Chorwacyą (program Starcewicza), albo złączenia wszystkich okręgów, zamieszkanych przez Słoweńców, w jedną prowincyę, co pociąga za sobą podział starych organizmów prowincyonalnych Styryi i Karyntyi, a więc nie mogłoby być urzeczywistnionem bez radykalnej zmiany konstytucyi, a zarazem historycznej organizacyi prowincyonalnej. Jak wiadomo, ludność słoweńska liczy 1,300.000 dusz, a jest obecnie reprezentowana w Izbie poselskiej przez 18 posłów.

Deklaracya br. Dipaulego.

Piszą nam z Wiednia, 19 września:

O stanowisku katolickiego stronnictwa ludowego ostatnimi dniami krążyły różne pogłoski. Autentyczne wyjaśnienie podaje list prezesa tej frakcyi barona Dipaulego, ogłoszony dziś w *Vaterlandzie.* Baron Dipauli przypomina, że rozporządzenia językowe zostały wydane bez wiedzy stronnictwa katolickiego, tudzież podnosi, że to stronnictwo życzyło sobie, aby rozporządzenia były roztrząsane w komisyi, ewentualnie zmienione. Z tych oświadczeń przedewszystkiem wynika, że młodoczesi w sprawie rozporządzeń, o których także nie wspomina adres większości, nie mogą wcale liczyć na bezwzględne poparcie katolickiego stronnictwa ludowego. Dalej baron Dipauli oświadcza się przeciwko wszelkim ekstrawagancyom federalistycznym. Wreszcie podnosi samodzielność swego stronnictwa, które nie wstępuje do żadnej większości rządowej, lecz zamierza od przypadku do przypadku ustanowić swą taktykę. Skoro tak, to rzekoma zupełna solidarność prawicy spoczywa na kruchych podstawach. Jeżeli jedna frakcya, bez której głosów większość przestaje być większością, zastrzega sobie zupełną swobodę akcyi, nie może być mowy o solidarnej większości. Na tle wynurzeń barona Dipaulego uwydatnia się dobitniej postawa drugiego Tyrolczyka dra Kathreina, który podobno na ostatnich konferencyach przemawiał za potrzebą szukania porozumienia z opozycyą niemiecką. Trzeci Tyrolczyk poseł Zallinger w swym organie *Tiroler Volksblatt* wprost wytyka stronnictwu katolickiemu, że popełniło gruby błąd, nie oświadczając się z góry stanowczo przeciwko „drakońskim" rozporządzeniom językowym, co od dawna wytykają mu na zebraniach publicznych ks. Liechtenstein, x. Scheicher i inni przywódzcy frakcyi chrześcijańsko-socyalnej.

Słowem, pozycya Niemców katolickich wobec roszczeń młodoczeskich, stała się bardzo trudną. W parlamencie wspólny interes przeciwko obstrukcyi poniekąd łagodzi sprzeczność interesów. Ale po za parlamentem w szerszych kołach niemieckich wzmaga się rozdrażnienie. Nie łudźmy się fikcyą, jakoby rozporządzenia wywołały jedynie niezadowolenie Niemców w Czechach i na Morawie. Na ostatniej wycieczce do Wenecyi, w sierpniu, zatrzymaliśmy się w różnych miejscowościach Styryi i Karyntyi. W tych okolicach dawniej nie odczuwano żywo solidarności z Niemcami Czech. Teraz zaś nietylko w kołach liberalnych i niemiecko-narodowych, lecz także katolickich, panuje tam nastrój stanowczo rozdrażniony, nie tyle przeciwko rządowi, ile przeciwko pretensyom Czechów i Słoweńców. Są to logiczne następstwa sprawy cylejskiej i rozporządzeń. Nie dość na tem: młodoczesi jakby umyślnie drażnią bez przerwy. Wyrugowanie ostatnich śladów równouprawnienia Niemców z Czechami z rady miejskiej Smichowa, a zwłaszcza brutalny gwałt publiczny, jakiego się dopuszczono na przedmieściu praskiem w Vrszowicach, rozwalając z rozkazu urzędu gminnego budynek szkoły niemieckiej *) oczywiscie w kołach niemieckich, nietylko radykalnych, wywoła gwałtowne wzburzenie. Wszystkie takie zajścia „na prowincyi" wywołują echo, o wiele silniejsze, niż w tutejszej prasie liberalnej, która tylko pro forma popiera opozycyę, ale ze względu na antysemicki charakter stronnictwa niemiecko-narodowego, au fond nie zachwyca się wcale kombinacyą, na mocy której panowie Schoenerer, Steinwender etc., awansowali na wodzów Niemców austryackich. To każdy może sprawdzić, że na prowincyi wśród Niemców panuje o wiele silniejsze rozdrażnienie, niż w Wiedniu.

Konstatujemy te fakta, ponieważ skuteczną politykę można opierać tylko na realnych faktach, nie na fikcyach. Z tych faktów wynika bardzo jasno, że pozycya rządu jest o wiele silniejsza, niż pozycya większości. Ta nie może dokonać niczego bez poparcia rządu, gdy przeciwnie rząd ewentualnie mógłby złożyć inną większość, albo rządzić bez większości. Gdyby dzisiejszej większości nie udało się pokonać obstrukcyi, rząd mógłby ją usunąć od razu zawieszeniem rozporządzeń językowych. Ztąd wynika dalej, że większość we własnym interesie powinna gorliwie popierać gabinet, składać dowody największego umiarkowania a wystrzegać się wszelkich ekstrawagancyi, które w deklamacyach dziennikarskich działają efektownie, ale w danym razie mogłyby tylko sprowadzić zwrot niepomyślny dla większości. Jak się zdaje, ostatnie konferencye przypomniały to wszytko zbyt gorącym żywiołom prawicy. To też teraz właśnie ci, którzy jeszcze przed kilku dniami szumnie nakazywali rządowi „se soumettre ou se demettre", teraz nagle odkrywają odznaki „krytycznego" położenia. I rzeczywiście stałoby się ono bardzo krytycznem — dla większości, gdyby pewne jej frakcye nie zaniechały nareszcie wszelkich ekstrawagancyi.

---

*) W Vrszowicach pod Pragą wystawił niemiecki związek szkolny budynek dla niemieckiej szkoły ludowej. Wydział krajowy zezwolił na używanie tylko frontowego budynku, a zabronił wystawienia oficyn, które jednak stały już pod dachem. Przeciw temu orzeczeniu wniósł związek szkolny zażalenie do trybunału administracyjnego, które dotychczas nie jest załatwione. Mimo to z rozkazu urzędu gminnego zaczęto walić te oficyny, rozebrano dach i część murów i dopiero starostwo powstrzymało dalsze demolowanie. *Przyp. Red.*

✝

Kornel Ujejski

zmarł w niedzielę, dnia 19 września 1897, o godzinie 11½ w południe, w Pawłowie obok Chołojowa.

Ostatni ze świadków i aktorów najwspanialszego okresu poezyi naszej, Kornel Ujejski, nie żyje. W każdym innym wypadku słowa „nie żyje" brzmią jak okropna nowina; w odniesieniu zaś do Ujejskiego — nie jako do człowieka, lecz jako do poety — wyglądają jakby coś, co się już dawno słyszało.

Twórca Chorału zamilkł od lat kilkunastu i odtąd nie przypomniał się niczem czytającej publiczności. Tymczasem niepowstrzymana fala życia niosła z sobą nowe utwory i nowych autorów. Powstała nowa poezya i skupiwszy na sobie uwagę powszechności naszej, pokryła grubą skorupą ten fakt, że poeta Ujejski żyje, i dawno już stworzył sobie miejsce w przytułku pamięci. Ta przynależność poety do przeszłości sprawia też, że wieść o jego zgonie staje się tylko jakby silnem, nagłem i promiennem przypomnieniem tego, co on zdziałał.

Równocześnie z wieścią o tym zgonie drgać poczynają w duszy wszystkie struny, na których ten artysta z Bożej łaski tak cudowne wygrywał harmonie. Otwierają się groby i z ich głębi wynurzają się promienne postacie naszej romantycznej poezyi, których szereg zamyka rycerska postać Kornela Ujejskiego. Ale że te postacie przyzwyczajeni jesteśmy widzieć w półwiekowej przeszłości, więc też i on teraz w chwili swego zgonu zdaje się występować z grobu razem z nimi, a nie zstępować do mogiły.

I treść i ton jego pieśni należy już do przeszłości, do owych chwil ostatnich rycerskich wysiłków narodu w walce o niepodległość. Rok 1823, tj. rok jego urodzenia, schodzi się z rokiem wydania „Grażyny", tego najbardziej rycerskiego zjawiska poezyi polskiej. Poezya romantyczna, zwyciężywszy już wówczas klasycyzm, wylewała wokoło siebie potoki światła i podniecała umysły do życia, czynu i walki. Wypadki z lat 1830-31 uderzały potężnem echem o młodą i wsiąkliwą duszę, a poezya ozłacała je aureolą męczeńskiego posłannictwa. I w takiej to atmosferze chował się przyszły poeta.

To też pierwszy okres jego życia i poezyi (do roku 1846) oddycha tą atmosferą. Gęśl jego słaba jeszcze wówczas i niezdolna do szczytnych samoistnych lotów, odbrzmiewała po większej części echem cudzej pieśni. Pierwszymi, którzy wywarli na Ujejskim wpływ decydujący, byli: Mickiewicz, Słowacki, a najmniej Krasiński. Ujejski uznając wyższość pierwszego, zachwycał się pięknościami drugiego, a najulubieńszem dziełem jego był „Kordyan" Słowackiego. Uznaniu dla Mickiewicza dał Ujejski wyraz w kilkanaście lat później we „Wspomnieniach o Mickiewiczu", a zapałowi swemu dla Słowackiego w nadaniu swemu pierworodnemu imienia Kordyana

Utwory, pochodzące z tego czasu, jak „Pieśni Salomona", „Pieśni nad pieśniami" „Eklezyasty", „Kwiaty bez woni", „Zwiędłe liście" i „Stance do matki" odbijają w treści i formie wyraźnie pragnienia prototypów swego twórcy. Gdzie niegdzie całe ustępy są wprost reminiscencyami z największych naszych poetów. Ale we wszystkich tych poezyach ujawniła się indywidualność Kornela, w tonie rycerskim, silnym jakimś, przypominającym kamiennością styl Mickiewicza, ale przewyższającym go energią. Ta cecha stała się w późniejszych utworach Ujejskiego tak wybitną, że stworzyła niemal gatunek poezyi.

Nadszedł rok 1846, a wraz z nim rozpoczął się nowy okres w życiu i twórczości poety. Ujejski przestał powtarzać poetów innych, i opowiadać rzeczy opowiedziane mu przez drugich, odtworzył zaś rzeczy i wypadki widziane własnymi oczyma. Rzeź chłopska z roku 1846, z całą swoją grozą rozbestwienia, łunami pożarów, i potokami krwi wylanej w bratobójczej walce, odźwierciedliła się poetycznie w „Skargach Jeremiego". Poeta, jak ów prorok biblijny, siedzi na zgliszczach i płacze nad dolą swojego narodu. Najenergiczniejszą, najbardziej buntowniczą z tych skarg, jest chorał „Z dymem pożarów", który potem bez winy poety wszedł do programu polityki demonstracyjnej. W dwa lata później, w r. 1848, kiedy Europę przebiegały prądy liberalne, odbiły się one i w poezyi Ujejskiego w wierszu „Krzyż i miecz". Utwór ten, jeszcze energiczniejszy, niż chorał, zdaje się walić na głowy czytelników głazy treści, i siekać męskimi końcówkami wiersza.

Po tym wybuchu energii, następują w życiu i idącej z nią ciągle w parze poezyi Ujejskiego czasy spokojniejsze. Poeta ożenił się, został ojcem, i uczucie ojcowstwa wygładziło rozbujaną powierzchnię jego duszy. Wyrazem tego jest „Psalm ojcowski". Potem owocem rozczytywania się w biblii są „Melodye biblijne", aż ukoiła się dusza poety po ciosach i wybuchach zupełnie. Wzrok jego, szukając szczęścia w przyszłości narodu, utknął w swej wędrówce na chacie. Z tych dumań nad dolą i niedolą ludu, w którego masach poeta ujrzał podstawy przyszłego szczęścia, wysnuł się przepiękny poemat „Zawiana chata". Odtąd nuta ta brzmiała długo w jego poezyi, wchłaniając w siebie zakres tonów coraz szerszy. Po utworach „Pogrzeb Kościuszki", „Za służbą", „Błonia medyckie", nastąpił poemat „W ciszy". Tu już ujęcie poetyckie Ujejskiego rozszerza się z ludu na przyrodę, na której tle ten lud się raduje i smuci.

Po utworach treści osobistej: „Czy wy mię znacie" i „Dla synów światłości" przeszedł rzutki duch poety, znowu do innego rodzaju. Oto pod wpływem muzyki szopenowskiej zbudziła się w Ujejskim chęć oddania w słowach treści tych utworów muzycznych. Powstały „Tłómaczenia Szopena". Są też to jedyne utwory, wychodzące zwycięzko z barbarzyńskiej w każdym innym wypadku próby deklamowania utworów poetyckich przy akompaniamencie fortepianu. Tutaj tony tak są mistrzowsko przetłómaczone na słowa, że jedne i drugie biegnąc równolegle tworzą przecudowną harmonię. Tłómaczenia te i trzy rozprawy polityczno-polemiczne, wydane razem pod tytułem „Listy z pod Lwowa" zamykają ten drugi okres w życiu i działalności Ujejskiego.

Etapem, na którym rozpoczyna się okres trzeci i ostatni, jest powstanie styczniowe. Zbliżanie się jego powitał poeta bardzo wcześnie, bo jeszcze w roku 1860 „Marszem polskim". Ale potem przyszedł rok 1861, 62 i 63, powstanie wybuchło, trwało przez ośmnaście miesięcy, a poeta milczał. Przeczuwał prawdopodobnie daremność wysiłku — i milczał, podczas gdy jego „Chorał" na wszystkich punktach Polski proroczył zwycięzko. Dopiero po upadku powstania w roku 1864 zjawiła się „Ostatnia strofa", która była pierwszym z „Urywków". Poeta odpędza w nim ducha pychy i buntu, który się w nim odzywa na widok pogromu. Odtrąca też owo coś, co mu szepce, że świat to tylko „ruch i bój". Nie! życie nie może być tylko mięszaniną ewolucyi i walki o byt. Nadchodzi czysta, idealna poezya, która na Boga wskazuje, jako na źródło dobrego, i woła wszystkich do jego ołtarzy. Poeta zrozumiał to, co pierwszy raz odezwało się nieśmiało zrazu z ust Szujskiego o wszelkich orężnych wysiłkach, a w szczególności o ostatnim, który naród wtrącił w większą jeszcze, niż przedtem, przepaść niedoli. W „Nowych pieśniach Jeremiego" wskazuje ideały pod postacią siły ducha i pracy.

Na tem kończy się historya poetyckiej działalności Ujejskiego. Charakteryzuje ją to wspólne wszystkim naszym poetom roman-

---

1)

W PRZELOCIE.

Wiedeń, Semmering, Karyntya, Wenecya, Medyolan, Riwiera, Monte Carlo.

2 września.

Godzina 7.20 rano. — Pociąg pospieszny wyruszył z wiedeńskiego dworca kolei południowej; przebiega lotem błyskawicy po przed gęsto rozsiane mniejsze stacye, zatrzymuje się po jednej minucie w Mödlingu, Badenie, Voslau, gdzie letnicy całemi gromadami zalegają dworce kolejowe, przystaje kilka minut w Wiener Neustadt i około godziny 10-tej dociera do Glognitz. Droga wije się pomiędzy obfitemi winnicami, rozrzuconemi po obydwu stronach toru kolejowego. Po lewej stronie ciągnie się rozległa równina, zasiana schludnemi wioskami i miasteczkami, po prawej wznoszą się znaczniejsze już wzgórza i zamykają dalszy widok. Mimo jesieni wszystko tu w pełni życia. Latorośle winne, obwisłe gronami, tworzą nieprzerwane żywopłoty na kilkumilowej przestrzeni, obszerne łąki połyskują barwą żywej zieloności, słońce przypieka straszliwie a termometr wskazuje 30° Reaumera.

Na każdej stacyi ruch niezwykły. Mnóstwo osób wsiada i wysiada z wagonów, pociągi osobowe krzyżują się co kilkanaście minut, ułatwiając komunikacyę z Wiedniem, który w tej porze wyludnia się, zapełniając wycieczkowcami wszystkie pobliskie miejscowości. Bo oto zbliża się pora winobrania. Na stacyi „Glognitz" przyprzęgają do pociągu drugą maszynę, stąd bowiem jedziemy w górę wspinając się na szczyty Alp wapiennych, zwanych także Alpami austryackiemi.

Maszyny pracują całą siłą pary i zwolnionym biegiem ciągną za sobą wozy po stromych urwiskach, odsłaniając oczom co raz nowe widoki. Ze stacyi Payerbach widać po prawej ręce najwyższy szczyt tej części Alp, tak zwaną „Rax-Alp" górę wznoszącą się oddzielnie od całego łańcucha w kształcie olbrzymiego stożka, zaokrąglonego u szczytu, który świeci nagą łysiną. Góra ta stanowi atrakcyjny punkt dla turystów w tych stronach, a wiedeńczycy ambicyonują na punkcie częstszego od innych wdrapywania się na jej szczyty. Po prawej stronie wysuwa się z pomiędzy gęstym lasem obrosłych grzbietów drugi wierzchołek tej samej grupy gór, tak zwany „Sonnenwendstein" obrany z wszelkiej wegetacyi podobnie jak szczyt „Rax". Obok stacyi Klammu, którą pociąg pospieszny pomija, nie zatrzymując się, wznoszą się ruiny starego zamczyska „Klamm", własności dziedzicznej starożytnej rodziny tego samego nazwiska. Dalej nad stacyą Breistenstein spogląda z wysokości 800 stóp nowożytny zameczek głośnego we Wiedniu p. Silberera, który uścielił sobie w pośrodku wysokopiennego lasu szpilkowego fantastyczne to gniazdo, podobne z odległości do barwnego domku z kart.

Stąd wspina się pociąg po łukowych krzywiznach na wyżyny sławnego Semmeringu, a tor kolejowy opasuje kilkakrotnym łukiem malowniczo rozrzucone w jarach wsie, osady, zakłady fabryczne, których tutaj co niemiara. Przejechawszy kilkadziesiąt tuneli większych i mniejszych wypływamy na Semmering. Letnicy, którzy tu przepędzają gorące miesiące, witają na stacyach i wzdłuż przestrzeni każdy pociąg powiewaniem chustkami i kapeluszami. Z wjazdem na Semmering, wkraczamy w ziemie krainy Styryjskiej i opuściwszy Alpy wapienne, jesteśmy pośród tak zwanych „Taurów" inaczej n i s k i c h Alp.

Mürzzuschlag, Bruck, Leoben i koniec Styryi. Ze stacyą Freisach wjeżdżamy do Karyntyi. Droga wiedzie między nieprzerwane łańcuchy Alp karyntskich a ze szczytów ich spoglądają dumnie resztki nierozpadłych jeszcze w gruzy dawnych zamków średniowiecznego rycerstwa, które rozsiadłszy się w tych obwarowanych gniazdach żyło z rozboju i łupiestwa. Taka tu moc tych zamków i zameczków, że wyliczyć je chociażby tylko pobieżnie nie stanie czasu, wreszcie opuszczone te i rozpadające się w szczątki pomniki dawnej niesławy niemieckiego feudalizmu nie budzą żywszego interesu. Kupy kamieni z basztami lub wieżycami różnorodnych kształtów, bez wybitnych cech jakiegoś jednolitego stylu, mogą zwrócić chwilową uwagę chyba śmiałością pomysłu budowniczego, który je formalnie poprzylepiał do nagich skał, zwiesiwszy całym ciężarem po nad bezdennemi urwiskami, w czem polegała ich cała obronność.

W tej powodzi fortów wyszczególnia się odrębnemi cechami zamęt w Horostowicach, własność rodziny hrabiów Khevenhüllerów. Na kończynach jednomilowej długości jeziora Ossiach, na wyskakującym osobno od podnóża skalistym wzgórzu, wolnym do okoła, zbudowano ten zamek, ubezpieczając go potrójnem obmurowaniem, które pnie się ślimakiem ku górze. Na samym szczycie rozsiadło się wspaniałe zamczysko, które groźnie i dumnie spogląda na wsze strony jak gdyby drwiło z ludzkich zakusów dostania się do niego. Zamek ten utrzymany wzorowo i w całości służy hr. Khevenhüller za letnią rezydencyę.

Opuściwszy kilkunastumilowy wąwóz, który się rozpoczął w Freisach, a kończy na zamku Horostowickim, wjeżdżamy w szerszą nieco dolinę Drawy i docieramy do stacyi Villach. Tutaj zmienia się krajobraz. O ile droga przez całą Karyntyę mimo wspaniałych gór, pokrytych gęstym lasem, mimo mnóstwa zamków, stawała się monotonną z powodu braku szerszego widoku, jaki nam zamykały, że się tak wyrażę, ściskające nas krzemienną obręczą, ciągnące się wzdłuż całego toru kolejowego łańcuchy gór, o tyle z wjazdem w dolinę Drawy rozszerzył się widnokrąg. Pasma gór, które biegły dotychczas równolegle, w bezpośredniej prawie ze sobą styczności, rozchodzą się po za stacyą Villach na obie strony i zakreślając szerokie łuki, tworzą olbrzymią kotlinę o powierzchni kilku kilometrów w czworobokach. Drawa biegnie szparko, tocząc na powierzchni całe pokłady piany, wytworzonej wskutek falowania wody i rozbijania się o olbrzymie odłamy skał, zalegające całe jej koryto. Bezustanny głuchy łoskot burzących się fal, podobny do odgłosu dawanych gdzieś w dali strzałów działowych, napełnia powietrze i potęguje poważne wrażenie, jakiego się doznaje rozglądając się w olbrzymiej kotlinie zamkniętej na pozór hen, na dalekich jej krańcach. Zda się, że nie masz wyjścia z tego zaczarowanego koła, opasanego niebotycznemi górami i skałami, które się w tem miejscu szerzej rozsunęły na to tylko, żeby zdumionemu śmiertelnikowi roztoczyć przed oczyma cały swój majestat i olbrzymią potęgę.

Nieprzerwany łańcuch gór na prawo, taki sam łańcuch na lewo, a przed tobą jakby niezdobyta twierdza, kolosalna grupa kamienna, zamykająca wyjście z kotliny.

Pociąg mknie szybko brzegiem Drawy, przesuwa się tuż po pod ściany prawego łańcucha skalistych gór, zatacza kilka łuków zapuszczając się w wąziuchne przesmyki i już się zdaje, że wypłynął z zamkniętej kotliny, gdy nagle jednym kolistym skrętem wpada napowrót w zaczarowane koło.

Przesunął się tylko z prawego brzegu rzeki na lewy jej brzeg i po tej stronie powtarza te same ewolucye, jakich dokonał przed chwilą po tamtej stronie.

Z natężonem zajęciem spoglądasz przed siebie zaciekawiony, jak się zakończy ta gra w ślepą babkę i którędy nareszcie wymkniemy się z objęć otaczających nas olbrzymów skalistych. W tej chwili pociąg zatacza szeroki łuk i sunie szalonym pędem... mimowoli wyrywa się z piersi głośny okrzyk podziwu

Przed nami, o kilkaset kroków, wyrasta z ziemi olbrzym trójgłowy i jakby dla zamknięcia wszelkiego przejścia, rozsiadł się szerokiem cielskiem od jednego łańcucha gór do drugiego, łącząc wszystko w jedną nierozerwalną całość.

Pociąg zatrzymuje się w biegu.

Edward Webersfeld.

(Ciąg dalszy nastąpi).

tycznym, że jest ona ściśle związaną z wypadkami w życiu narodu. Z małymi wyjątkami wszystkie utwory Ujejskiego rodzą się zewnątrz i kończą swój żywot na zewnątrz. Nie ma w tych utworach, z wyjątkiem może tłómaczeń Szopena i kilku poematów z pierwszego okresu, głębokich wnikań w duszę świata. Dlatego kiedy zabrakło wypadków zewnętrznych, zamilkła i muza Ujejskiego. Dlatego też kiedy przestał tworzyć, tak prędko odsunął się w przeszłość, że za życia wyglądał jak człowiek umarły. Kiedy zaś przed czterema laty obchodzono 70-tą rocznicę urodzin poety, to wnikanie w jego poezyę robiło wrażenie grzebania w dokumentach poezyi z jakiejś zamkniętej już w sobie epoki.

Ale w tym zakresie stanął Kornel Ujejski bardzo wysoko. Każde współczesne mu drgnienie narodu odbijało się w jego poezyi potężnie, a zarazem tak energicznie i donośnie, jak u żadnego poety. Mickiewicz czuł ból milionów głębiej, ale Ujejski dawał mu wyraz głośniejszy. Dlatego też dźwięk jego poezyi rozlega się szerzej i donośniej od natchnień mickiewiczowskich. Nie ma obchodu narodowego, na którym nie śpiewanoby „Z dymem pożarów", nie ma estrady, z której nie deklamowanoby „Maratonu", „Czarnego szalu" lub „Marsza żałobnego". Utwory te mają w swej potężnej energii władzę trafiania wprost do dusz tłumu i stawania się jego wyrazem. Ta okoliczność uderzała widocznie i obcych, gdyż utwory Ujejskiego tłómaczone są na kilka języków europejskich, a niektóre z nich nawet na wschodnie.

Jeżeliby się chciało określić jego działalność w literaturze polskiej, to możnaby ją nazwać potężnym i hucznym finałem, godnym wspaniałej symfonii naszej romantycznej poezyi. Oddał nam wszystko, co w sobie miał najlepszego i oto odszedł do swoich. A my, schylając głowy przed jego unoszącym się w błękity duchem, żegnamy go wdzięczną pamięcią i modlitwą.

* * *

P. Wład. Bełza otrzymał dziś w południe następujący telegram od syna poety:

„Jeżeli kto z przyjaciół ojca, zechce wziąć udział w pogrzebie, najlepiej niech dojedzie fiakrem do Kamionki, gdzie mogą konie stąd posłać. Proszę tylko dać mi znać o tem dzisiaj. Wyjechawszy o 6-tej rano ze Lwowa, staje się na 9-tą w Kamionce, a o 11½ tutaj. Z umieszczeniem żadnych skrupułów nie ma; kilkadziesiąt osób pomieszczę.

Roman".

Z Królestwa Polskiego.

Od wybitnej osobistości otrzymaliśmy list następujący:

„Zbyt uroczyste i znamienne są dni, któreśmy przeżyli, by się wrażenie ich w polskich duszach prędko zatarło. Sądzę, że te dni wizyty monarszej w Warszawie dadzą do myślenia na całe tygodnie, a do myślenia na całe lata.

Charakter tych dni był inny, niż się wielu z nas spodziewało; sądzono bowiem, iż nieraz nam odezwie się jako do wybuchów radosnego entuzyazmu. O ile nawet było to takiego, coby wywołało okrzyki radości z piersi naszych. Ale o ile w tych dniach brakło entuzyazmu, o tyle zyskały one na głębokości wrażeń.

Cesarz Mikołaj II pomimo młodego wieku jest dziwnie powściągliwy w słowach; frazesów pięknych nie lubi i nimi nie porywa, ale za to każde jego słowo jest rozważone, jasne, spokojne. Wszystkie jego dyplomatyczne przemówienia były bardzo skromne, wśród których wszakże rozumieć się dało, że umysł szczery i prawdziwie oddane. Każde jednak przemówienie nosiło swoją wyraźną cechę.

Toast petersburski podczas pobytu cesarza Franciszka Józefa był prawdziwie ciepły, naturalny, serdeczny, bez zbytniej frazeologii. Toast na przyjęcie cesarza Wilhelma był najwyraźniej tylko gościnny. Do nas przemówił także krótko, spokojnie, entuzyazmu ojciu nie wzniecił.

Rzekł on nam jednak: „Ja w szczerość waszych uczuć wierzę zupełnie." Chociaż nie wybuchliśmy na te słowa radosnymi okrzykami, poczuł jednak z nas każdy, że nam wierzy prawdziwie i że my jemu ufać śmiało możemy. W głębi dusz naszych zrodziło się przekonanie głębokie, ale trwałe: że skoro nam zupełnie wierzy monarcha, to i my możemy być pewni, że nas nie odepchnie, nie opuści, że zrobi dla nas wszystko to, co zrobionem być może, co się zgodzi z interesami całego obszernego państwa i wszystkich zamieszkujących to państwo narodów i szczepów.

Te słowa monarszego zaufania nie są bynajmniej czcze, mogące nam dać do myślenia, że według zdania ministra hr. Tołstoja zjawiła się chwila, w której nas chcą zbyć „posmarowaniem miodem". Nie, wiara i zaufanie, to uczucia głębsze i szczersze, rozpoczynające nową erę dopuszczenia nas do wspólnej pracy nad dobrobytem państwa, którego jesteśmy częścią, a zatem i nad dobrobytem własnym.

Przechodząc do uwag nad zachowaniem się społeczeństwa naszego, pierwszy raz od lat wielu przychodzi się przed tem społeczeństwem obnażyć głowę z uznaniem. Przez cały czas pobytu pary carskiej ani jedna nuta fałszywa nie drgnęła. Nie mówiąc już o tych różnorodnych warstwach całego kraju, które tłumnie, jak należało, przybyły do Warszawy, by parę cesarską powitać, cała publiczność na ulicach zebrana, i nie odgrywająca oficyalnej roli, była tak idealnie przyzwoita i porządna, że sam cesarz Mikołaj uwagę swoją zwrócił na ten bezprzykładny porządek. Obawiano się ścisków, krzyków i gwałtów; urządzono nawet w tym celu liczne ambulatorya, jednak nigdzie nie stało się nic takiego, coby na chwilę jedną mogło porządek publiczny zakłócić.

Wiele osób przypisuje ten objaw wysokiej naszej narodowej kulturze. Mojem zdaniem jest to nadzwyczaj fałszywe pojęcie. Publiczność nasza na zebraniach kulturą się nie odznacza. W codziennem życiu jedni popychają drugich, nikt na drugiego nie zważa, każdy robi podług swojej fantazyi.

Porządek wśród publiczności w czasie pobytu pary cesarskiej bezwarunkowo przypisać należy narodowemu instynktowi. Każdy, i wielki i maluczki, odczuł uroczystość chwili i ważność dla narodu tych dni. Wszystkie serca polskie uderzyły jednakowem tętnem. Psychologiczny moment był dla wszystkich jednakim. Ogólny nastrój wszystkich sprawiał mimowolne wrażenie, jak żeby tam, w Warszawie, przy przejeżdżającym monarchy, było jedno tylko wielkie serce całego narodu.

I zaiste to była i pod tym względem niezwykła uroczysta chwila. Czuło się solidarnie i przebyte ciężkie chwile i nadzieje lepszej przyszłości. Znać było, że cały naród zapomniał poszczególnych krzywd i bólów i zrobił wspólnie olbrzymi krok naprzód, odbierając zwrot. Pojął naród cały od razu swoje zadanie zupełnie i przejrzał wszyscy, iż nie na drodze samoistności politycznej w kroczyć przyjdzie, lecz na drodze solidarności z rosyjskim narodem. Zrozumiał każdy, że pod tym warunkiem swoje narodowe cechy najpewniej zachować potrafi.

Gdy podczas wjazdu cesarskiej pary okrzyki powitania były nieco stłumione wewnętrznem wzruszeniem serc, swobodniej rozlegały się już głosy częściej, swobodniej. Gdy na trzeci dzień pobytu cesarz i cesarzowa zwiedzili kościół św. Aleksandra, zebrany koło świątyni tłum zaczął po prostu płakać. Gdy wychodzili z kościoła, mniej krzyczano, a więcej cichych błogosławieństw dla młodej cesarskiej pary polało się z polskich serc.

Tak, bezwarunkowo przyznać należy, iż pobyt cesarski utwierdził w duszach zupełne, bezgraniczne niemal zaufanie do tronu. Ten młody cesarz z tą uroczą małżonką swoją, przyjeżdżający do nas wraz ze swą drobną dzieciną, podbił nasze serca zupełnie. Młody monarcha ze swojem „wspaniałomyślnem samowładztwem" może być zupełnie pewny polskich wiernych uczuć.

Inaczej się jeszcze ma niestety ze stosunkiem narodu co do narodu. Liczne przychylne nam głosy rosyjskiej prasy, niestychanie są zaciemniane przez głosy jawnie nieprzychylne, starające się nawet z łaskawych monarszych słów wycisnąć dla nas tylko nauki pełne podejrzliwych wyższości. A nie może jednak nuty ciepłej, serdecznej. Jak zwykle każdy, co coś niszczy i burzy, więcej za jeden dzień zniszczyć i zburzyć potrafi niż drudzy w tym czasie zbudują, tak samo i w tej kwestyi, jedno jakiebądź łajdo więcej trucizny do naszych polskich serc, niż całej notatki inni te tany dobrem słowem zbudowali.

Jeszcze z prasą rosyjską byłaby mniejsza bieda, żeby nie ta nalanga urzędników, działające wśród ludności polskiej, a przepełniony serdecznym uznaniem do całej Polski, pod imieniem zastosować można dziewięć rodziny rzymskiej z powieści Zoli „Rzym": „Bocca Ner ! alma rossa!" — Dusza czerwona i czarna paszcza!

Dziwi mnie nawet, że Rosyanie tak karnie zwykle wobec woli monarszej, wnoszą w swe stosunki do Polaków takie uczucia i takie sposoby postępowania, wręcz niezgodne z interesem państwowym i z wolą monarchy.

Kto zna Rosyan w Rosyi, temu się dziwić przychodzi, że wobec narodowej rosyjskiej czułości serca i łatwości w stosunkach, tylu się jednak znalazło, co przebywając w Królestwie, zamiast roztoczyć przed nami zalety słowiańskie swych współziomków, przeciwnie obudzają w nas najnieżyczliwsze dla siebie usposobienia.

Chodzi im zapewne o ich przywileje w kresowej służbie i o wyższe pensye, niemniej jednak czyny tak wysoce niepatryotyczne wobec własnego narodu, dają nam nieraz do myślenia, obudzają w sercu obawę, czy też nie dana im jest wskazówka z góry, żeby działali inaczej, niż nawet głoszą słowa od tronu.

Przyznać trzeba, że i my nie umiemy postępować z nimi tak, jak tego wymaga polityczna mądrość.

Czując swoją bezsilność, niemniej chcemy im imponować czemkolwiek i z naszą polską butą imponujemy im niby tą naszą wyższą starą kulturą.

Ale co do tego, należałoby i nam dać za wygranę. Rosyan to nasze zachowanie się razi stanowczo, — co zaś do kultury, to pamiętać trzeba, że ongiś Rosyanie zostali w rozwoju kulturalnym wstrzymani przez ucisk Mongołów. Od Piotra Wielkiego długo krępowane kulturalne soki zaczęły krążyć przyśpieszonem tempem. Co zaś nas się tyczy, to ostatnie stulecie ucisku i wad znacznie naszą kulturę cofnęło. Czy tak, czy inaczej, nie jesteśmy znowu tak bardzo kulturą wyżsi; myślą podobnie tylko ci, co siedzą w głębi swojej prowincyi, a szerszego rosyjskiego świata nie znają.

Bądź co bądź, to do Rosyan bezwarunkowo należy, jeżeli chcą nasz naród do swojego zbliżyć narodu, przedstawić nam siebie samych w innem świetle, niż to dotychczas czynili.

Ks. Imeretyński też żadnym faktem, podobnie jak hr. Szuwałów, nie zaznaczył swego zarządu nad ludnością polską. Dał nam jednak swem humanitarnem postępowaniem możebność odczuć zupełne zaufanie do swojej osoby, zaufanie, które się wyraziło okrzykami: „to nasz! to nasz!", gdy między świtą za powozem cesarskim przejeżdżał.

Życzyć możemy, — a i Rosya chyba tego życzyć powinna — żeby każdy urzędujący pomiędzy nami Rosyanin wzbudzał w naszych sercach równe zaufanie, jak ks. Imeretyński. Jak będziemy widzieli, że tym urzędnikom nasze interesy ekonomiczne i legalne, — nie mrzonki, ale interesy — są bliskie sercu, sądzę, że im chętnie udzielimy epitetu „to nasz".

Wówczas tylko prawdziwe zbliżenie nastąpi, gdy Rosyanin urzędnik pomiędzy Polakami weźmie za swoje zadanie nasze interesy ochraniać, gdy urzędnik Polak pracujący gdzieś, chociażby nie na swojej glebie, czuć będzie, że swoją cegiełkę składa do budowy ogólnopaństwowego gmachu i że w miarę swojej pracy pozyska należne w tem całem państwie uznanie.

Darks'ar.

Zjazd ruskich radykałów.

Wczoraj rozpoczęły się obrady dorocznego zjazdu ruskich radykałów w domu robotniczym. Obecnych przeszło 100 osób, z tego przeważna część chłopów.

Prezesem na pierwszy dzień wybrano dra Frankę, na drugi posła Nowakowskiego. Po mówkach powitalnych i załatwieniu wstępnych formalności, przystąpiono do porządku dziennego, którego pierwszym punktem było sprawozdanie delegatów z rozwoju ruchu radykalnego na prowincyi.

Gdyby wierzyć wszystkim delegatom na słowo, możnaby sądzić, że już cała wschodnia Galicya jest radykalna. Tymczasem osoby delegatów wcale nie przedstawiają rękojmi, że jest prawdą to, co mówią; większa ich część to zapaleni chłopi, którzy patrzą na podżegany przez siebie ruch bardzo różowo i opowiadają więcej o aresztowaniach, borbach wyborczych, rozwiązywaniach wieców i zborów, niż o jakichś konkretnych zdobyczach. I tak pierwszy delegat, chłop Śmigielski ze Zbarazkiego chwali się, że na wiecach często sam gadał po 5 i 6 godzin bez ustanku; inni delegaci wywierają wrażenie, jakby to samo potrafili. Za to jednak sprawozdania ich są bardzo bałamutne. O ile jednak wnioskować można, to głównemi ogniskami ruchu radykalnego są powiaty: przemyski, żółkiewski, horodeński, kołomyjski, tłumacki. W innych powiatach jest albo dopiero w zaczątkach, albo ruch ten reprezentuje sam tylko agitator, który sam siebie musi wybierać na delegata. Głównym czynnikiem, z powodu którego radykalizm nie rozszerza się po myśli jego pionierów, jest brak ruskiej inteligencyi, która się woli garnąć do narodowców lub staroruskiej partyi. To też w wielu powiatach radykalizm jest niejako tylko pasożytnem stronnictwem przy tamtych partyach i usiłuje opanować towarzystwa przez nie założone. I tak n. p. w Tarnopolu walczy o hegemonię w „Podolskiej radzie", w Przemyślu w „selańskiej radzie".

W Kołomyi, według sprawozdania dr. Trylowskiego, idzie najlepiej, bo tam Towarzystwo „Narodna Wola" liczące 720 członków jest prawie całe radykalne, a nadto radykalizm grupuje się jeszcze z około 26 narodnych spółek. Zresztą usiłują radykali zakładać własne towarzystwa, np. „Chłopską radę" w zbaraskiem, „Narodnyj Postup" w tłumackiem. Przeciwdziałają ruchowi radykalnemu głównie księża, którzy, według sprawozdania dr. Olijnyka, tylko w żółkiewskiem popierają radykałów — dalej towarzystwa „Proświty", które tylko idee narodowe mają na oku. Za to prześladowania i aresztowania podczas agitacyi wyborczej wpływały tylko dodatnio na rozwój radykalizmu. Interesującą okoliczność przytoczył delegat Dumka z tarnopolskiego: mianowicie, że tamtejsi zwolennicy radykalizmu przez długi czas nie przyznawali się, że są radykałami z obawy, aby ich inni chłopi nie obili. Z tego pokazuje się, że agitatorzy wogóle wszystkich niespokojnych chłopów, czy ci chcą czy nie chcą, liczą do radykałów, za to też często zdarza się, że ci radykali raptem przerzucają się do innego obozu i głosują na nieradykalnego kandydata.

Na końcu zabrał głos Wityk, z centralnego komitetu i skonstatował, że cała (!) wschodnia Galicya jest już radykalną. Ruś pogardzana dotychczas, odżyła, rusza się i ma cel swego życia. Partya radykalna to nie partya Romańczuka albo moskalofilów, ale partya narodu, idąca pod hasłem wspólnej wzajemnej miłości. Siła w niej jest, chociaż jej nie widać, bo jest rozdrobniona na powiaty. Mówca ma nadzieję, że radykali będą tak silni, iż „przejdą granicę rosyjską i molochowi petersburskiemu podetną nogi a w środku Rosyi wywołają rewolucyę socyalną." Co się tyczy działalności centralnego zarządu, powiada Wityk, że robił ten zarząd co można było: schodzono się i radzono — o ile nie siedziano w kryminałach.

Po południu przystąpiono do drugiego punktu porządku dziennego: do kwestyi podziału Galicyi na dwie części. Kwestya ta, zastarzała zresztą, została teraz ponownie wszczęta przez partyę narodowców i to z takim naciskiem, że i radykali uznali za stosowne zająć wobec niej stanowisko.

Referentem tej sprawy był p. Baczyński z Horodenki. Określa on stanowisko radykałów do sporów narodowościowych w Austryi w ten sposób, że wyzysk ekonomiczny pociągnął za sobą wyzysk nacyonalny, wskutek czego Słowianie kupią się przeciw Niemcom, a znowu wśród Słowian słabsi stoją przeciw silniejszym np. Rusini przeciw Polakom. Wina w tem systemu centralizacyjnego w austryjackiem państwie. Ale i system federacyjny nie prowadzi do celu, bo tylko „borby" parlamentarne zmieniłyby się na borby sejmowe. Polacy w Rusi — to supremacya szlachty nad chłopstwem, to też dążeniem Rusinów powinno być połączenie ruskiej Galicyi i Bukowiny w jedno narodowe polityczne ciało. W jaki sposób ma radykalna partya zamanifestować to swoje zapatrywanie, to będzie rzeczą dyskusyi.

Wywiązała się długa dyskusya, bo trwająca od godziny 3-ej do 9-ej wieczorem. Podczas tej dyskusyi kilku włościan, mimo tak ważnej kwestyi, zasnęło snem sprawiedliwych.

Pierwszy zabrał głos Michał Nowakowski i wyjechał na koniku ekonomicznym porównywał drogi zachodniej a wschodniej Galicyi, mówił o podatkach, o gminach, rzucił podejrzenie na rząd, że wygania Rusinów za morze a sprowadza na Ruś Mazurów, w końcu nie postawił żadnego wniosku. W dalszej dyskusyi zaznaczyły się wyraźnie dwa prądy wśród radykałów: jeden więcej socyalistyczny, niedbający o narodowość, drugi szowinistyczny. I tak dr. Daniłowicz twierdził, że nie potrzeba „nowych kordonów". Rozdział Galicyi jako emancypacya nacyonalna Rusinów musi ustąpić przedewszystkiem idei socyalizmu tj. łączności. Zastrzegł się mowca przed „płytkim nacyonalizmem", nadto wyraził żal, że Ruś niema swego centrum kulturalnego, bo Lwów jest tak samo polskim jak Kraków. Ważniejsze są inne kwestye np. powszechnego głosowania. Natomiast Wityk, człowiek młody i gorąco kąpany, przemawiał na temat wielkiej socyalistycznej Ukrainy, któ aby ze socyalistyczną Polską szła ręka w rękę, i postawił wniosek, żeby zjazd zamanifestował, iż domaga się wyswobodzenia ruskiego narodu z pod supremacyi polskiej na podstawie ogólnego głosowania, na razie zaś domaga się podziału Galicyi.

W duchu dra Daniłowicza mówił dr. Trylowski broniąc mimochodem Iwana Franki przed zarzutem niepatryotyzmu, który mu robią tylko surdutowi patryoci. Przemawiał także dr Franko, sprzeciwiając się postulatowi mającemu na celu jakąś fikcyjną Ukrainę. Trzeba się liczyć z tem co się ma, rusinizacya może posuwać się tylko krok za krokiem. Natomiast sprawa podziału Galicyi jest już dojrzałą, nie tak jak w r. 1848, kiedy ten sam postulat podnieśli patryocyi ruscy, a żaden chłop ruski instynktowo nie chciał podpisać odnośnych petycyi. Walka o powszechne głosowanie, o zniesienie kuryi, postęp szkolnictwa— to także walka narodowa, a o wiele realniejsza.

Przemawiali także i włościanie, był to jednak już tylko popis wiadomościami literackiemi, ekonomicznemi itd. Co który liznął z książek, to produkował teraz przed zgromadzonymi, przeciągając obrady bezpotrzebnie. W końcu uchwalono wniosek Daniłowicza, aby polecić radykalnym posłom ruskim w parlamencie, aby ewentualnie postępowali w myśl zasady podziału Galicyi na dwie części.

Dziś rozpoczęła się dyskusya nad projektem rządowym, mającym na celu zaprowadzenie przymusowych gospodarczych spółek po wsiach. Referował tę sprawę dr. Daniłowicz i w ostrych słowach krytykował projekt, który — jak podejrzywa — ma za zadanie „tworzyć kapitał dla pańskich programów". Szczególnie atakował § 9c projektu: o należeniu „panów do chłopskich spółek". Panowie chcą urządzać „paradę", niech sobie ją jednak gdzieindziej urządzają, a chłopom dadzą spokój. Zrealizowanie projektu rządowego polegać będzie tylko na liczbie marszałków (głos: koby szcze za honor. ałe to za hroszi...), i wogóle wyjdzie na korzyść tylko bogaczom (głos: chruniom). Koniec końców, chłopom takiego projektu nie trzeba, oni sami będą się starać o swój rozwój ekonomiczny, a domagają się autonomii każdej gromady, prawa nadzoru nad wójtem i radą gminną, i t. p. Poparł go Michał Nowakowski, nazywając projekt rządowy „receptą na torby dziadowskie dla włościan?" Paragrafy projektu są tak sprytnie ułożone, że co wniosek daje jedną ręką, to odbiera czterema. Zdaniem jego nie byłoby z tego ulgi dla chłopów choćby dlatego, że prawie $^2/_3$ część chłopów nie mogłaby należeć do spółek wskutek tego, że za mało posiadają ziemi. Nakoniec zaproponował Nowakowski wystosować rezolucyę, wyrażającą niezadowolenie ludu z tego przedłożenia i odczytał projekt rezolucyi, w którym to jednak projekcie nie ma ani słowa o podjęciu sprawy współdziałania właścicieli dóbr z chłopami na polu ekonomicznem z jakiegokolwiek innego stanowiska; widocznie pp. radykali nie mają dobrej woli.

Omawiano także gospodarkę gminną i oświadczono się wogóle za zasadą powszechnego głosowania do rad powiatowych i do rad gminnych.

Obrady trwają dalej; na porządku dziennym sprawa wykupu ziemi dla chłopów od większych właścicieli przez państwo.

Z izby sądowej.

Tarnopol 19 września.

(*Ekscesa przy wyborach*)

Wszyscy oskarżeni o gwałty przy wyborach w Wasylkowcach zostali wczoraj wieczorem na mocy wyroku trybunału uwolnieni.

* * *

Wiedeń 18 września.

(*Sprawa Dawidowska.*)

Najwyższy trybunał odrzucił zażalenie nieważności przeciw wyrokowi na sprawców krwawych zajść w Dawidowie i śmierci ś. p. Stanisława Popiela zarówno co do kompetencyi trybunału orzekającego, jakoteż co do wymiaru oskarżonym kary. Cały zatem wyrok w ponurej sprawie dawidowskiej został zatwierdzony.

* * *

Kraków 18 września.

(*Oszust na wielką skalę*).

Po przeprowadzonej rozprawie, wydał dziś trybunał, na podstawie werdyktu sędziów przysięgłych wyrok skazujący Wolfa Bromberga, na półtora roku ciężkiego więzienia

KRONIKA.

Lwów 20 września.

Ostatnie życzenie Kornela Ujejskiego. Wczoraj wieczorem nadszedł na ręce p. Wład. Bełzy, następujący telegram od syna poety: „Ojciec o pół do 12-tej w południe zakończył życie. Pogrzeb we wtorek rano w Pawłowie. List obszerny do p. Karola Młodnickiego wysłałem. — *Roman*".

Ów list, o którym wzmianka w telegramie, jest niejako ostatnią dyspozycyą poety co do jego pogrzebu i miejsca, gdzie życzy sobie być pochowany. Podajemy go w streszczeniu: „Z głęboko odczutą wdzięcznością pozostajemy dla wszystkich, którzy pragną czemkolwiek uczcić ojca naszego, w ostatnim, tak dla nas bolesnym obrzędzie. Życzeniem jednak ojca było, kilkakrotnie dawniej wyrażonem, aby go pochowano na cmentarzu w Pawłowie, bez grobowca. I teraz jeszcze, ledwie już dosłyszalnym głosem, powtarzał to samo. Czyż więc możemy postąpić inaczej? Pragnął ojciec również cichego pogrzebu. Ciągle przedtem dopytywał się o swego spowiednika ks. Skalskiego z Radziechowa, nieobecnego właśnie teraz, — chociaż niedawno, przy zasłabnięciu i św. Sakrament przyjmował i zupełnie się na śmierć przygotowywał ze spokojem całym i wiarą głęboką".

Niewątpiąc, że zarówno ci, których łączyły bliższe stosunki z poetą, jak i liczni jego wielbiciele, zechcą wyrazić kondolencyę rodzinie, dodajemy, że listy i telegramy adresować należy: Roman Ujejski, Pawłów, poczta Chołojów.

Stan zdrowia J. Em kardynała Sembratowicza był wczoraj wieczorem groźny. Gorączka wzmogła się do 38·4° C., lewe płuco zostało także przez zapalenie zajęte, a organizm słabo reagował

Zabawy hygieniczne.

„Nie ducha kształcić mamy, ani ciało, lecz człowieka". Wychowanie tak prywatne, jak i publiczne, nie zawsze pamiętało o tej pięknej zasadzie Montaigne'a. W czasach niezbyt dawnych, podobno nawet tu i ówdzie jeszcze i w naszych, szkoła zapomniała zupełnie o ciele, sądząc błędnie, że umysł da się rozwijać z zupełnem ciała pominięciem, że istnieje niezależność pomiędzy ciałem a umysłem, pomiędzy fizyczną a duchową stroną człowieka.

Czasy na szczęście się zmieniły, a choć szkoła na wielu jeszcze punktach w tej sprawie błądzi i stąpa po omacku, jesteśmy jednakże świadkami coraz szerszego uznawania ważnego znaczenia hygienicznego ćwiczeń cielesnych we wszelkiej formie. Gimnastyka, sport, gry i zabawy hygieniczne, upowszechniają się szybko i ogarniają coraz liczniejsze masy. Reakcya nawet, zdaje się, zaszła tak daleko, że przestały po brukach wielkomiejskich imponować słabowite, delikatne, wychudzone lalki ludzkie, a miejsce ich zajęli śmieli, sprężyści, muskularni sportowcy i siłacze. Wyścigi, konkursy gimnastyczne, walki zapaśnicze, trenowanie — te słowa odbijają się dziś o uszy nasze, bodaj czy znacznie rzadziej, niż za czasów cezarów rzymskich. Staramy się, i słusznie, skorzystać z przykładów dawnej przeszłości i przejąć z niej to, co dobre, pożyteczne, i zdrowe.

Staliśmy się wszakże — a zapomnieć o tem nie wolno — ludźmi innymi, niż byli Rzymianie z czasów cesarstwa lub Włosi z epoki odrodzenia Mimowoli staramy się nietylko tych naszych mistrzów naśladować, lecz i prześcignąć. I oto widzimy, jak chłopiec i młodzieniec współczesny w ćwiczeniach swych gimnastycznych stają wobec zadań bardzo mało przypominających zadania owoczesne. Wymyśliliśmy mnóstwo przyrządów gimnastycznych, niezmiernie skomplikowanych, które gimnastykę naszą stawiać mają wyżej nad pierwotne ćwiczenia cielesne w starożytnej Grecyi i Rzymie. Bądźmy zresztą sprawiedliwi i powiedzmy odrazu, że te zawiłe narzędzia wymyśliła przedewszystkiem gimnastyka niemiecka. Specyaliści - nauczyciele gimnastyki wyczerpali teoretycznie niemal wszystkie kombinacye mięśniowe, możliwe do spełnienia przez przeciętnego człowieka, i doszli tą drogą do arcykomicznego rezultatu: oto niejeden z najświetniejszych gimnastyków potrafi pokazywać sztuki dziwne i wywoływać efekta bardzo zajmujące, lecz nie potrafi dobrze chodzić, stać, ani siedzieć. Gimnastyka niemiecka, która i do nas przeszła w formie prawie niezmienionej, kształci ciało w ten sposób, że daje mu moc i siłę odporną dla wypadków nadzwyczajnych, zapominając o warunkach zwykłych, codziennych. W zasadzie ćwiczeń samych leży tu już błąd bardzo ważny; ruchy wykonywają się szybkie, dorywcze, natężone; mięsień zmuszony jest do wyładowania naraz najwyższej możliwej siły. Tymczasem badania fizyologiczne najniewątpliwiej dowodzą, że tego rodzaju wysiłki mięśniowe zupełnie są nieodpowiednie do wyrobienia w mięśniu tej siły, którąby pozwoliła mu pracować przez czas dłuższy w stanie natężonym, wykonywać stałecznie pracę większą nad normę. Mięsień zyskuje moc na wypadki nadzwyczajne, lecz jego ogólna sprawność, powszednia, codzienna, bynajmniej się nie zwiększa. Pokona on raz jeden wysiłek nadzwyczajny, lecz nie sprosta przez czas dłuższy zadaniu, nieco tylko przekraczającemu normę zwykłą.

Zasady gimnastyki szwedzkiej znacznie są racyonalniejsze, jeżeli chodzi o metodę wprawiania mięśni w ruch, wykonywania skurczów mięśniowych. Skurcz jest tu powolniejszy, statecznie wzmagający się od niskiego do coraz wyższego stopnia natężenia; mięsień stopniowo wydatkuje coraz większy zapas siły, przechodzi całą skalę sprawności, zyskując na niej coraz więcej. Dzięki temu, metoda ta w dłuższem ćwiczeniu podnosi ogólny poziom sprawności w ćwiczonych mięśniach, przystosowuje się więc do warunków naturalniejszych, nie prowadzi do rezultatów tak sztucznych, jak metoda niemiecka.

Ten, tak prosty napozór wniosek, w formie swej doskonale uzasadnionej, mógł być zdobyty jedynie przez ścisłe badanie naukowe, przez doświadczenia fizyologiczne, ilościowo oceniające efekty siły mięśniowej w każdym poszczególnym wypadku. I dlatego wniosek to wcale nie tak dawny, boć badania naukowe w tym kierunku są daty bardzo świeżej stosunkowo. Empirya dużo wprawdzie zaważyć może na szali spraw, podobnych do poruszonej tutaj, sąd jednak ostateczny należy do ścisłych pomiarów naukowych. Empirya też oddawna już doprowadziła do zaciętych sporów między zwolennikami gimnastyki niemieckiej a stronnikami metody szwedzkiej. Różnice wszakże w rezultatach obchodu metod i przyczyny tych różnic ujawił dopiero eksperyment fizyologiczny. Nie tutaj miejsce przytaczać długiego szeregu nazwisk uczonych, którzy doprowadzili do doskonałości obecnej dział fizyologii mięśni. Odpowiedniem wszakże jest tu miejsce dla położenia ważnego nacisku na tę okoliczność, że gimnastyka znajduje się w niezupełnie właściwych rękach, że zbyt mało lekarz i fizyolog ma udziału przy kierowaniu zajęciami gimnastycznemi młodzieży, że wreszcie i lekarze sami stosunkowo nie wiele są obeznani z tym przedmiotem zarówno ze strony naukowej, teoretycznej, jak i praktycznej.

Fizyologia i hygiena ruchów mięśniowych nie jest nauką łatwą, a badacze dopiero w najnowszych czasach przystąpili do sformułowania praktycznych wniosków ze swych poszukiwań. Lecz doniosłość hygieniczna tej nauki już obecnie zaczyna być dostatecznie uznawana. Najpiękniejszy i najwymowniejszy tego dowód dało miasto Paryż, zakładając specyalny instytut i szkołę, w których „fizyologia zajmuje się najwyższem zadaniem nauki: zadaniem fizycznego udoskonalenia człowieka." Tylko przy podobnym sposobie patrzenia na sprawy hygieniczne, gimnastyka wyjść może z powijaków młodzieńczego swego empiryzmu i stanie się metodą ochronną zdrowia i życia ludzkiego, opartą na niewzruszonych, wyrozumowanych i racyonalnych zasadach naukowych. Trzeba się pogodzić z myślą, której żaden lekarz i hygienista dziś nie zaprzeczy, z myślą, że żaden ruch, nieokreślony naukowo co do przyczyn swych i skutków anatomicznych i fizyologicznych, nie jest ruchem gimnastycznym. Każde oddzielne ćwiczenie gimnastyczne musi być roztrząsane przez krytykę fizyologiczną i wyjść zwycięzko z tej próby; inaczej nie może ono rościć pretensyi do ćwiczenia hygienicznego.

Gimnastyka ma na celu wyrobić w nas moc odporną, skupić w ustroju naszym zapas siły mięśniowej, podnieść ogólną sprawność naszego ciała i uczynić je zdolnem do walczenia z wrogiemi siłami zewnętrznemi. To nader rozległe zadanie, które istotnie daje się osiągnąć przez rozumne i systematyczne ćwiczenia cielesne, zostało wszakże zacieśnione, w wielu razach nawet wypaczone przez nieudolne kierownictwo ćwiczeniami gimnastycznemi. Patrzano i dotychczas jeszcze wielu patrzy na gimnastykę zbyt jednostronnie, a złudzenia istotnej siły nazbyt często bywają poczytywane za ową moc odporną, której zdobycie ostatecznym jest celem wszelkich zabiegów hygienicznych. Całą uwagę zwrócono na mięśnie, jak gdyby zdrowie jednego organu dawało miarę zdrowia całego ciała. Nie uwzględniono tej naczelnej prawdy fizyologicznej, że prawidłowość funkcyi cielesnych zależy od zgodnego, harmonijnego współdziałania wszystkich organów, że istnieje ścisła, nader skomplikowana wzajemna zależność pomiędzy narządami naszego ustroju i że zależność ta nie może być naruszona bez szkody dla całego ciała. Nie chodzi nam o wydoskonalenie jednego organu, lecz o zdrowie całego organizmu. Dla sprawy zaś zdrowia ogólnego, płuca, serce, układ nerwowy, skóra, bezwątpienia są ważniejsze niż mięśnie. Otóż fatalny błąd owej jednostronności w gimnastyce polega w nader wielu wypadkach na tem, że mięśnie kształcą się i rozwijają kosztem innych organów.

Dr. F.

(Dokończenie nastąpi).

Dziś nastąpiło pewne polepszenie, organizm lepiej reaguje, gorączka wynosi już tylko 37·4° C, a zapalenie z prawego płuca nieco ustąpiło. Stan krytyczny potrwa jeszcze kilka dni.

Dyrektor Barącz bawi we Lwowie w przejeździe z wód. Jeżeli zwolennicy jego talentu zdołają go nakłonić do pozostania dłużej w naszem mieście, to może da on bodaj jedno ze swoich znakomitych przedstawień. Dawno już Lwów nie słyszał monologów p. Barącza i z pewnością rad je posłyszy.

Międzynarodowe wyścigi cyklistów urządził wczoraj po południu Lwowski klub cyklistów. Pogoda sprzyjała, nawet zrazu słonko przypiekało, jakby to było w lecie. To też i publiczność zwabiona nadzieją zajmującego widowiska, przybyła nader licznie. Wszystkie miejsca na trybunach, przed baryerą, jakoteż z drugiej strony toru były zajęte, nawet pomiędzy konarami drzew, przytykających do toru, rozmieścił się kontyngens bezpłatnych widzów. W ogóle widowisko zapowiadało się bardzo dobrze; mieli ze sobą walczyć o lepsze cykliści z Wiednia, Pragi, Warszawy, Paryża i Lwowa. Program ten nie został wprawdzie spełniony w zupełności, ale mimo to emocyi i wrażeń było dużo, szkoda tylko, że do emocyi tych należał także widok ciągłej klęski naszych cyklistów i zwycięstwa cudzoziemców. Lecz tak już być chyba musi, skoro koniecznie chcemy mieć międzynarodowe wyścigi.

Już zaraz w 1-szym wyścigu pokazało się, że Niemcy i Czesi nad naszymi górują, i nie dopuszczą ich do nagród. Był to wyścig gości na długości 2000 m. (5 okrążeń). Ponieważ konkurentów zgłosiło się aż 12, przeto podzielono ten bieg na dwa przedbiegi i bieg rozstrzygający, do którego mieli prawo stawać trzej pierwsi z każdego przedbiegu. Meta przedbiegów była oznaczona na 1000 m. czyli 2½ okrążenia toru.

Do pierwszego przedbiegu stanęli Wiedeńczycy: Ortner, Reininger, Walzer i Hrachowina, oraz dwaj Czesi: Kosina i Piša. Pierwszy przybył do mety Reininger, który okazał się najlepszym wyścigowcem z pomiędzy wszystkich gości i zwyciężał potem prawie we wszystkich biegach, w których brał udział. Drugi przybył Kosina, który także we wszystkich następnych wyścigach przybywał zawsze prawie tuż za Reiningerem. Trzecim był Walzer. Do drugiego przedbiegu stanęli: Stanisław Barański z Warszawy, Wierzbicki z Krakowa, Jaroš i Scharrer z Pragi, Larwin i Brettschneider z Wiednia. Pierwszym był młodziutki Czech Jaroš, który po Reiningerze i Kosinie osiągał stosunkowo najlepsze rezultaty, drugi Scharrer, trzeci Barański.

Zwycięzcy z przedbiegów stanęli do wyścigu głównego, który był nader zajmującym ze względu na taktykę, którą podczas biegu rozwinęli zagraniczni cykliści. Jechali zrazu stosunkowo bardzo powoli, a każdy ciągle obserwował ruchy współzawodników, aby w stosownej chwili przeniknąć ich manewry i odpowiedzieć na nie swoimi. Widocznem także było, że chodziło każdemu o to, aby jadąc przed drugim nie „prowadzić" go t. j. nie rozcinać przed nim powietrza i nie ułatwiać tym sposobem jazdy swym konkurentom. Na razie wysunął się młodziutki Jaroš, ciągle oglądając się na pędzącego za nim Kosinę tak, jakby mu się dawał dogonić. Za Kosiną jako trzeci, jechał Reininger, który w ogóle zdawał się zawsze trzymać tej metody, by jechać zrazu mniej więcej trzecim, i dopiero przy końcu „brać" współzawodników. Dopiero w 5 okrążeniu puścili się wszyscy pełnym pędem: pierwszy przybył Reininger (3 m. 24 sek), drugi Kosina, (3 m. 24⅕ sek.), trzeci Jaroš (3 m. 26 sek.). Nagrody były 50, 30 i 20 koron.

II Wyścig główny na tandemach 10.000 m. czyli 25 okrążeń. Stanęło do startu 5 par jeźdźców: Scharrer i Jaroš, Kosina i Piša, Bystrzanowski i Barański, Reininger i Walzer, Larwin i Ortner. Pierwszymi byli u mety Czesi: Kosina i Piša (13 m. 49 sek.), drugimi Niemcy Ortner i Larwin (14 m. 2⅗ sek.), trzecimi znowu Czesi Jaroš i Scharrer (15 m. 31 sek.). Dwie pozostałe pary wycofały się w połowie biegu, gdy już dla nich żadnych szans nie było. Nagród było trzy w wartości 40, 30 i 20 koron.

III. Konkurencya rekordowa; 400 m. czyli 1 okrążenie. Każdy z konkurujących miał jechać z osobna na zasadzie toru — był to więc bieg tylko na szybkość. Współzawodnicy trzymali się tej metody, że przed zaczęciem okrążenia wjeżdżali na najbardziej pochyłą część toru, dopiero stamtąd puszczali się w dół i zyskując w ten sposób od razu tempo. W chwili przejazdu przez taśmę mieli pełne tempo. Jest to tzw. lotny start (fliegender Start). Najszybszym okazał się Reininger, który przebył żądaną odległość w 28⅘ sek. (około 14 metrów na sekundę!) i zdobył nagrodę 100 koron. P. Kosina tę samą drogę przebył w 29⅗ sek., Hrachowina w 30⅕ sek., Ortner w 31⅖. Przypominamy, że podczas ostatnich wyścigów cyklistów lwowskich, odbytych przed kilku tygodniami, najlepsi nasi cykliści uzyskali w takim samym wyścigu zaledwie rekord Ortnera, co prawda, bez „lotnego startu".

Do wyścigu o mistrzowstwo lwowskiego klubu cyklistów (3000 m. czyli 7½ okrążeń) stanęło tylko dwóch Lwowian: dr. Maryan Dawidowski i Jan Wissmüller. Zwyciężył bez trudu dr. Dawidowski, zyskując medal złoty i tytuł „mistrza L. K. C. na r. 1897/8". Do tego [illegible] znany wyścigowiec lwowski, Komoniewski i on byłby pewnie został mistrzem, jak to głośno oświadczył nawet sam dr. Dawidowski, gdyby był przed paru dniami nie pokaleczył się niebezpiecznie podczas treningu.

Nastąpił wyścig główny na rowerach (1000 m. czyli 2½ okrążeń). Do pierwszego przedbiegu (800 m.) zgłosili się: Scharrer, Kosina, Ortner, Reininger i Hrachowina. Znowu z tego przedbiegu wyszli w szybkim porządku: Reininger — pierwszy, Kosina — drugi, Hrachowina — trzeci. Z drugiego przedbiegu wyszli: Walzer — pierwszy, Jaroš — drugi, Barański — trzeci, zaś Larwin i Brettschneider musieli ustąpić. W biegu rozstrzygającym zwyciężyli: Reininger (1 m. 35⅕ sek.), Kosina (1 m. 35⅖ sek.), Jaroš (1 m. 36 sek.). Nagród było trzy w wartości 100, 60 i 40 koron.

VI wyścig z wyrównaniem na rowerach (1000 m. czyli 2½ okrążeń). Zgłosiło się 11-tu współzawodników, którzy otrzymali stosownie do rozmaitych punkty startu [illegible]. Zwyciężył Hrachowina, który jechał 1 m. 19 sek. pomimo, że był jednym ze scartchmanów (cyklistów, którzy zaczynają od punktu 0 i pełną drogę), drugim był Ortner (1 m. 19⅕ sek.), trzecim Piša (1 m. 19⅖ sek.). Reininger, Kosina i Jaroš nie brali udziału w tym wyścigu. Nagrody 3, w wartości 50, 30 i 20 k.

VII Wyścig z wyrównaniem na tandemach (1609 m. czyli 4 okrążenia + 9 m.) Do startu stanęło pięć par wyścigowców: Gliński i Barszczewski (obaj ze Lwowa), za nimi Bystrzanowski i Barański (z Warszawy), za nimi Hrachowina i Brettschneider, na punkcie 0 stanęli Reininger i Walzer, a jeszcze o kilka metrów za nimi Kosina i Piša. Rezultat [illegible] odwrócił się w tym samym szeregu. Pierwszymi byli Kosina i Piša (2 m. 8⅘ sek.), drugimi Reininger i Walzer (2 m. 9 sek), trzecimi Hrachowina i Brettschneider (2 m. 9⅗). Nagrody były wartości 60, 40 i 20 koron. Tym więc razem Czesi pobili Niemców, pomimo, że dali im nieco wyrównania.

Zakończył wyścigi na prędce zaaranżowany bieg polski (1000 m. 2½ okrążeń). Stanęli do startu Pawulski z Przemyśla, Mańkowski ze Lwowa, Sadowski z Warszawy i Wierzbicki z Krakowa. Pierwszym był Sadowski, drugim Mańkowski, trzecim Wierzbicki. Nagrody były: medal złoty mniejszy, medal srebrny większy i mniejszy. Bieg ten odbył się już prawie po ciemku, bo około 7-mej godziny, kiedy publiczność już się rozchodziła do domów.

Śluby. Dnia 18 bm. odbył się w kościele OO. Jezuitów ślub p. Olgi z Ziemblic Bogusławówny, córki Zdzisława z Ziemblic i ś. p. Jadwigi z hr. Chołoniewskich Bogusławów — z panem Gustawem Szaszkiewiczem, synem ś. p. Włodzimierza i Emilii z Tarnawskich Szaszkiewiczów. Drużbami były p. Marya hr. Romer i p. Helena Burzyńska. W orszaku ślubnym znajdowali się między innemi: hrabina Zofia Siemieńska Lewicka, hrabina Helena Chołoniewska i hr. Edward Chołoniewski, ochmistrz dworu arcyksiężnej Stefanii.

Ślub hrabianki Wandy Badenianki z ordynatem hr. Adamem Krasińskim odbędzie się w Wiedniu dnia 28 października.

Wybory do Rad powiatowych w Złoczowie i Żywcu odbędą się w dniach 26, 27 i 28 października, zaś w Rudkach, Kałuszu, Buczaczu i Jarosławiu w dniach 27, 28 i 29 października.

Jabłoń zakwitła po raz drugi w tym roku w jednym z owocowych ogrodów przy ulicy Trzeciego Maja w Rzeszowie. O tym wybryku natury donosi *Kuryer rzeszowski*.

Samorząd miejski w Królestwie polskiem jest już postanowiony. Dzienniki donoszą, że rosyjskie ministerstwo spraw wewnętrznych zażądało w tych dniach od władz Królestwa polskiego sporządzenia list wyborczych.

Na cześć Dąbrowskiego. Bochnia przybrała wczoraj uroczystościową szatę z okazyi stuletniej rocznicy utworzenia legionów polskich przez jenerała Dąbrowskiego, syna ziemi bocheńskiej. Przy współudziale około dwóch tysięcy Sokołów i mnóstwa innych delegacyj i publiczności odprawił rano w katedrze ks. wikary Wójcik solenną Mszę św., a ks. Żyguliński z Tarnowa wygłosił zastosowane do uroczystości kazanie. Następnie ks. kanonik Lipiński poświęcił tablicę pamiątkową, którą niedawno opisaliśmy. Po ceremoniach kościelnych udano się w okazałym orszaku do gmachu Sokoła na uroczysty poranek, gdzie poseł August Sokołowski z Krakowa miał przemowę, a część deklamacyjną uświetniła swym współudziałem artystka dramatyczna z Krakowa, pani Siemaszkowa. Odczytano też wiele telegramów, nadesłanych ze wszystkich stron kraju. Po południu udano się do wioski rodzinnej Dąbrowskiego do Pierzchowca, gdzie złożono na pomniku jenerała trzy wieńce: od Sokolstwa, od miasta Bochni i od włościan.

W skład jury konkursu dramatycznego dyrekcyi teatru lwowskiego wchodzą pp.: prof. dr. Jan Bołoz Antoniewicz, Ludomił German, Jan Kasprowicz, dr. Adam Krechowiecki, prof. Antoni Małecki, Stanisław Rossowski, Aureli Urbański, Roman Zezazowski i dr. Juliusz Bandrowski z głosem jednym zastrzeżonym dyrekcyi teatru. Dotąd wpłynęło prac 10. Ostatni termin nadsyłania prac do 1. grudnia 1897 r.

Nauka języka polskiego w warszawskich szkołach rządowych nie była nigdy zupełnie wykreślona, lecz była to nauka nadobowiązkowa, a wyznaczono na nią godziny albo od 8 do 9 z rana, albo od 3 do 4 po południu. Nauka w tych godzinach nie jest objęta w programach szkolnych, gdyż według regulaminu wykłady rozpoczynają się o 9, a kończą o 3. Rzecz naturalna, że na tę nadobowiązkową naukę języka polskiego, uczniowie nie mogli chodzić, bo godziny poranne, zwłaszcza w zimie, były dla młodzieży zawczesne, a wykładów po trzeciej po południu znużona młodzież słuchać nie mogła. Teraz zarządził p. Ligin tymczasową zmianę. Nauka języka polskiego będzie w rozpoczętym roku szkolnym jak dotąd nadobowiązkową, ale przeznaczono na nią godziny między 9 a 3.

Hr. Władysław Zamoyski, właściciel Zakopanego, w ostatnich dniach ciężko zaniemógł, jednakże stan jego zdrowia nie jest groźny.

Księżna Chimay — jak donoszą z Paryża, otrzymała i przyjęła od sułtana „zaproszenie" do Konstantynopola, aby tam na dworze sułtańskim dała kilka występów jako śpiewaczka.

Posiedzenie lwowskiej Izby handlowej i przemysłowej odbędzie się dziś w poniedziałek o godzinie 6. wieczór, w sali posiedzeń Izby, plac Halicki l. 10. Na porządku dziennym znajdują się między innemi: Propozycye kandydatów na fachowych sędziów obywatelskich przy sądzie krajowym we Lwowie, tudzież przy sądach obwodowych w Kołomyi, Przemyślu, Samborze, Sanoku, Stanisławowowie i Stryju.

Pogłoska o zamordowaniu urzędnika w Tłustem okazała się mylną. Faktem jest tylko to, że urzędnik pocztowy, pracując w biurze pocztowem w nocy, wystrzelił z rewolweru dwa razy, przyczem skaleczył się w rękę. Urzędnik ów powiada, że odpierał atak jakiegoś rabusia, inni zaś utrzymują, że temu urzędnikowi tylko się przywidział rabuś.

Pożar. W Kukizowie w powiecie lwowskim spaliło się na folwarku dworskim pięć stogów zboża, wiele materyału drzewnego, stodoła i szopa z maszynami, ogólnej wartości 16.546 zł. Szkoda była ubezpieczona na 5.000 zł.

Morderstwo W Skwarzawie nowej, w pow. żółkiewskim, w lesie znaleźli żandarmi zwłoki włościanina Michała Sieniawskiego, który jeszcze w lipcu zaginął był bez wieści. Żonę Sieniawskiego, Annę i jego nieślubnego syna, Karola Chimczuka, aresztowano, gdyż są poszlaki, że oni go zamordowali.

Pola dyamentowe, które prawdopodobnie jak złotodajne wody zimnej Alaski zelektryzują cały świat awanturniczy, odkryto w południowej Afryce, w Transwaalu, pod stolicą Pretoryą. Pola dyamentowe mają być bardzo bogate.

Przerażające wieści o szerzeniu się szkarlatyny nadchodzą z Kołomyi. Prawie dwieście osób, przeważnie dzieci, zapadło na tę chorobę Szkoły ludowe pozamykano.

Rada szkolna krajowa zamianowała zastępcami nauczycieli w szkołach średnich: Józefa Piątkowskiego w gimnazyum I w Przemyślu, Błażeja Gawora i Gerarda Felińskiego w III gimnazyum w Krakowie, Tadeusza Dropiowskiego w gimnazyum św. Anny w Krakowie, Jana Koczwarę w gimnazyum w Wadowicach, dra Jerzego Żuławskiego w gimnazyum w Jaśle, Jana Alojzego Schadena w szkole realnej we Lwowie; Wiktora Adama Szelągowskiego, Józefa Sroczyńskiego i Jana Załuskiego w gimn. Franciszka Józefa we Lwowie. — Dalej uchwaliła Rada szkolna krajowa przenieść zastępców nauczycieli w szkołach średnich: Bronisława Starzeckiego z Jarosławia do III gimnazyum we Lwowie, Antoniego Olberka z gimnazyum w Tarnopolu do gimnazyum w Złoczowie, Bogdana Hoffa z gimnazyum w Kołomyi do szkoły realnej w Krakowie, Adama Cehaka ze szk. realnej we Lwowie do szkoły realnej w Tarnopolu, Adolfa Beera ze szkoły realnej we Lwowie do szk. realnej w Tarnowie. — Wreszcie zatwierdził w zawodzie nauczycielskim w szkołach średnich nauczycieli: Jana Wilkosza w gimnazyum w Nowym Sączu, Antoniego Borzemskiego w gimnazyum w Sanoku, Emila Lityńskiego w gimnazyum w Złoczowie, Jana Kublińskiego w gimnazyum I w Przemyślu, Teodora Nachera w gimnazyum w Brzeżanach.

Trójka socyalistyczna w szynionach. „Obywatelki": sławna Ludwika Michel, Fauville i Brousondoux przybyły z Paryża do Brukseli, ażeby na rzecz w Montjuich skazanych anarchistów wygłosić kilka piorunujących oracyi. Ponieważ przybycie socyalistek wzburzyło tłumy, a wskutek tego obawiano się ekscesów, zaaresztowano niepożądanych gości z Paryża. Gdy socyalistki prowadzono na inspekcyę policyjną, wzburzony tłum wołał: „Niech żyje anarchia!" i chciał odbić zaaresztowanych, wskutek czego policyanci musieli torować sobie drogę płazowaniem pałaszami zbyt zuchwałych. Roznamiętniony tłum miał też zamiar urządzić „kocią muzykę" przed lokalem poselstwa hiszpańskiego, ale zamiar ten udaremniła energiczna postawa władz policyjnych: Odprowadzenie socyalistek pod eskortą do granicy francuskiej położyło kres dalszym manifestacyom.

Zmarli. W Nowym Sączu August Ligęza lat 48. — We Lwowie Józef Sas Matkowski, urzędnik kolejowy, lat 50; Tadeusz Rożałowski, asystent pocztowy, lat 29.

Stan powietrza. T. o g. 8 rano 9, w poł. 19 R., Bar. 759. Spada. Pogoda.

Pomiędzy przyjaciółmi.

— Słuchaj, jestem zrujnowany, nic mi już nie pozostało, w łeb sobie palnę, tylko proszę cię, pożycz mi rewolweru.

— Owszem, lecz nie zapomnij zwrócić mi go zaraz po użyciu.

Repertuar teatru. Dziś w poniedziałek po raz drugi „Zwyciężony", sztuka w 4 aktach Władysława Rabskiego. Jutro we wtorek „Klub kawalerów", komedya w 4 aktach Michała Bałuckiego. Szósty występ pani Anieli Siennickiej.

Odpowiedzi Redakcyi. *WP. Józef Panek w Pawłowie.* Nie zamieścimy.

WP. M. Wojakowski w Stasiowej Woli. Mimo najszczerszych chęci prośbie Pańskiej uczynić nie możemy; możliwem to jest tylko za zezwoleniem autora, a pozwolenia tego nie posiadamy.

LITERATURA I SZTUKA.

*** Z teatru.** Sezon zimowy w gmachu hr. Skarbka rozpoczęła dyrekcya w sobotę sztuką oryginalną p. Władysława Rabskiego: „Zwyciężony". Jest to dramat w 4 aktach na wielkopolskiem życiu osnuty i niby według tendencyi autora, ma to być obraz aktualny tamtejszych stosunków, dla których p. Rabski wystawia prawdziwe *testimonium paupertatis*.

Treść „Zwyciężonego" niezawikłana, gdyby przynosiła z sobą cechy oryginalnego pomysłu, lub choćby nawet zręcznej roboty, to taką prostotę należałoby poczytać za zaletę — ale ta treść, to kartka wykrojona ze starego romansu, do którego autor doszył tendencyę o „pracy dla ludu", o „walce ze szlachtą", no i ma się rozumieć o „wyborach", bo te, przy dość wyraźnem upadaniu parlamentaryzmu, zaczynają być w modzie na scenie. — Jest tedy bankrutujący hrabia Warecki, który ma syna Karola i córkę Martę. Karol hula, gra w karty, rujnując siebie i ojca, Marta zaś, młoda i szlachetna dziewczyna, zakochała się w parweniuszu Zygmuncie Wolskim, posiadającym doktorat filozofii, naczelnym redaktorze *Trybuny*. Ojciec naturalnie nie zgadza się na taki mezalians i córka bez pozwolenia rodzicielskiego zawiera związek małżeński przy pomocy jakiejś kuzynki Wodyńskiej, która nawiasem powiedziawszy po cichu kocha się w redaktorze Wolskim, ale on udaje, że tego nie rozumie i ciągle ją tytułuje duchową „siostrą". Gdy się to dzieje, odbywają się wybory i walczą dwa obozy: zacofany szlachecki i postępowy demokratyczny. Karol utracyusz chce posiąść mandat poselski, mąż jego siostry, redaktor *Trybuny*, zwalcza go. Ale Wareccy są bankrutami, a chcąc się ratować i nie kompromitować przed obywatelstwem, sprzedają symulacyjnie majątek swój komisyi kolonizacyjnej. Wprawdzie ta symulacya wydaje się, a dokumenta kompromitujące Wareckich dostają się do rąk redaktora *Trybuny*, ale Marta broni tak energicznie dobrej sławy ojca i brata, że wydostaje z rąk męża te dokumenta i pali je. Teraz znowu Wolski jest skompromitowany wobec swoich politycznych sojuszników, którzy mu odbierają redaktorstwo i wydają na łup zgryzoty sumienia. O tej ofierze dla rodziny dowiadują się Wareccy, przybywają więc, aby się z Wolskim pogodzić, ale ten zgorzkniały, ze wstrętem cofa rękę i opuszcza dom, pozostawiając żonę rodzinie, mimo, że Marta spodziewa się zostać matką. Karol zaś został wybrany posłem.

W „Zwyciężonym" widać rzeczywiście utalentowanego dziennikarza i polemistę, ale autora dramatycznego jeszcze niema. Czy przyjdzie kiedy i opanuje ten bogaty materyał literacki, którym p. Rabski rozporządza, to zależy od bardzo różnostronnych okoliczności, a przedewszystkiem od tego, czy rogaty dziennikarz da się opanować autorowi dramatycznemu potrzebującemu skupienia, formy i życia na scenie — tego wszystkiego czego właśnie dzisiaj zupełny brak w „Zwyciężonym", a nie zastąpią ich tyrady sążniste, patos, posiłkowanie się, mimo postępowości autora, zwietrzałemi melodramatycznemi postaciami (kuzyn-rezydent i stary lokaj) i publicystycznem rezonerstwem, choćby w tak poprawnym języku wypowiedzianym, jak to czyni p. Rabski. Co dziwniejsza, że początkujący autor, nie zdoławszy jeszcze ogarnąć całości, zazwyczaj zabłyśnie talentem w jakichś epizodach, w jakiejś dobrze schwytanej, choćby pobocznej postaci — w „Zwyciężonym" i tego niema, a budowa sztuki jest tak luźna, że wszystkie figury drugorzędne, a jest ich sporo, nie powiązane są z akcyą i absolutnie są niepotrzebne.

Obsada „Zwyciężonego" nie pozostawia nic do życzenia. Role były we właściwych rękach, i co zależało od artystów, wszystko zrobione zostało.

W niedzielę po południu dawano obraz historyczny Gustawa Fiszera p. t. „Jan Kiliński". Sztuka to nie nowa, ale na lwowskiej scenie dotąd nie była grana. Jeżeli się nie mylę, grali ją raz amatorowie w sali stowarzyszenia Skała. „Jan Kiliński" Fiszera ułożony z dużą znajomością sceny i ludzi, a charakterystyka niektórych postaci, choć przelotna i szkicowa, niemniej prawdziwa i uposażona w dokładne rysy charakterystyczne. Szkoda tylko, że autor najzupełniej niepotrzebnie do sztuki przyczepił żyda, który nie ma z nią nic a nic wspólnego, a to jego opowiadanie o tem co było, i nóż w ręku, nietylko nie są efektowne, ale nawet osłabiają całą sytuacyę. Była dawniej moda na żydów w takich sztukach scenicznych, ale po Abramku w „Kościuszce" trzeba im już dać spokój. Tego żyda z „Kilińskiego" bardzo zresztą łatwo odłączyć i w tem miejscu, gdzie był, nikt nie pozna, że czegoś brakuje.

„Jan Kiliński" odegrany został wybornie.

Iks Ypsylon.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 18 września.

(Z.) Obroty dzisiejsze rozpoczęto pod korzystnem wrażeniem depeszy z Konstantynopola, że dziś na pewno podpisany zostanie traktat pokojowy. To korzystne wrażenie potęgowała jeszcze do pewnego stopnia ta okoliczność, że sprzedaże spekulantów peszteńskich, które wczoraj wywierały znaczny nacisk na kursa, dziś ustały zupełnie. W rezultacie wytworzył się więc prąd zwyżkowy, z którego skorzystały przeważnie kredyty i Statsbahny. Ku końcowi jednak nastał zwrot niepomyślny i zamknięcia kursów odbyły się w stanowczo słabem usposobieniu, tak, że kredyty i Statsbahny z porannej zwyżki wynoszącej kilka guldenów, ocaliły zaledwie po kilkadziesiąt centów. Powodem tego był kompletny brak kupujących ze sfer publiczności i trudności w otrzymaniu gotówki — Z Pesztu donoszą, że tamtejsze instytucye, których listy zastawne obiegają w Austryi, zamierzają odbyć wspólną konferencyę celem obmyślenia sposobów w jakiby można rozwikłać trudności, wynikające z zaprowadzenia podatku od kuponów w Austryi, który zmniejsza popyt o te walory.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 360—, węgierskie 391·25, Anglobanki 164.—, Uniony 295·—, Bankvereiny 254·75, Länderbanki 228·—, Ludwiki 215·50, Czerniowieckie 284·—, Elbethale 254·25. Renta papierowa 102·05, srebrna 102 —. austryacka złota 124·60, austr. renta wal. kor. 101·65, węgierska złota 121·70, węgierska renta wal. kor. 99·50, dukat 5·66, 20 frankówka 9·52½, marki 11·73, ruble 1·27½.

Spirytus. Wiedeń 18 września. Dzisiejsza cena 19·70—19·90. Przeciętna cena całego tygodnia 19·85—20·05.

§ **Ceny zboża. Wiedeń** 18 września. pszenicę na jesień 11.95, na wiosnę 11.95—12.01, żyto na jesień 8.65—8.76, na wiosnę 8.85 do 8.95, owies na jesień 6.37—6.38, na wiosnę 6.69 - 6.72, kukurudza na jesień 5·30—5.32, na wiosnę 5.87—5.88, rzepak na sierpień-wrzesień 13.50 - 13.60.

Telegramy Przeglądu.

Paryż 20 września. Po czternastomiesięcznych rokowaniach przyszło nareszcie do porozumienia między rządem francuskim a angielskim w sprawie Tunisu. Anglia zawarła była w r. 1875 z bejem Tunisu traktat, który miał obowiązywać po wieczne czasy i zapewniał jej znaczne korzyści handlowe, Francya zaś nie chciała uznać tego traktatu. Otóż obecnie zgodziła się Anglia na unieważnienie tego traktatu, a otrzymała za to tę korzyść, że cło od bawełnianych wyrobów angielskich przywożonych do Tunisu zniżono z 8 na 5% od wartości i zobowiązano się przez piętnaście lat nie podwyższać go.

Kopenhaga 20 września. Ambasador rosyjski br. Mohrenheim w przejeździe z Petersburga do Paryża zatrzymał się tu i bawił przez dziewięć dni. Podobno prowadził on jakieś rokowania, będące w związku z sojuszem franko-rosyjskim.

Rzym 20 września. Półurzędowo zaprzeczają wiadomości, podanej przez *Fanfullę*, jakoby minister spraw zagranicznych Visconti-Venosta i włoski ambasador w Londynie jenerał Ferrero ułożyli wspólnie z tutejszym angielskim ambasadorem układ o wspólności działań wojennych na morzu flot włoskiej i angielskiej w razie zawikłań wojennych.

Madryt 20 września. Ambasador Hiszpanii przy Watykanie konferował wczoraj w Sant Sebastian w sprawie ekskomuniki rzuconej na ministra finansów, a obecnie przedstawi całą sprawę Papieżowi, na którego mądrą decyzyę zdaje się rząd hiszpański.

Ateny 20 września. Prezes gabinetu Ralli oświadczył, że przyjęto już propozycyę rządu greckiego co do bezzwłocznego nawiązania na nowo stosunków handlowych, rozpoczęcia żeglugi i powrotu emigrantów tessalskich pod gwarancyą mocarstw, tudzież co do wymiany jeńców. Umowa zawarta w tej mierze zamieszczona zostanie w traktacie pokojowym jako artykuł dodatkowy. Nadto rzekł prezes gabinetu, że rząd ma obecnie dwie sprzeczne decyzye do wyboru, którą z nich wybierze, to pokaże się dopiero po urzędowem ogłoszeniu traktatu pokojowego, które nastąpi prawdopodobnie jutro.

Wiedeń 20 września. Wczoraj rozpoczął się tu szósty zjazd członków stowarzyszenia Czerwonego krzyża. Biorą w nim udział reprezentanci Austro-Węgier, Niemiec, Rosyi, Włoch, Francyi, Belgii, Szwajcaryi, Hiszpanii, Danii, Holandyi, Portugalii. Japonii Obrady zagaił w języku francuskim brat Cesarza, arcyksiążę Ludwik Wiktor.

Praga 20 września. Namiestnictwo poleciło usunąć z lokalów publicznych tablice z napisem: „Tu rozmawia się tylko po czesku".

Peszt 20 września. Zgromadzenie socyalistów odbyło się wczoraj w lasku miejskim. Wzięło w nim udział około czterech tysięcy osób Uchwalono na niem rezolucyę żądającą wprowadzenia powszechnego prawa głosowania. Zajścia nie było żadnego.

Rzym 20 września. Dotychczasowy minister oświaty Gianturko zamianowany został ministrem sprawiedliwości, a tekę oświaty objął Codronchi

Kanea 20 września. Powstańcy podpalili w kilku miejscach winnice i gaje oliwne. Koło Apokorony przyszło do utarczki.

Tetschen 20 września. Wczoraj odbyły się tu w zamkniętych lokalach dwa zgromadzenia niemieckie, w których wzięli udział także goście z cesarstwa niemieckiego. Uchwalono rezolucye, wyrażające posłom obstrukcyjnym podziękowanie za ich dotychczasową działalność i wzywające ich, aby wytrwali w dalszej walce. Po tych zebraniach chcieli uczestnicy ich urządzić wspólny pochód do hali wystawowej w Bodenbachu, żandarmi jednak nie pozwolili na to i wezwali tłum do rozejścia się. Rozkazu tego usłuchano.

Peszt 20 września. Przybyli tu wczoraj minister hr. Gołuchowski i niemiecki sekretarz stanu von Bülow.

Konstantynopol 20 września. Do preliminarza traktatu pokojowego dodano artykuł 11, w którym zarówno Turcya jak i Grecya zobowiązują się nie ścierpieć na swem terytoryum żadnych agitacyj, mogących zagrażać bezpieczeństwu i porządkowi w państwie sąsiedniem.

Peszt 20 września. Cesarz niemiecki przybył tu i przyjęty został z wielką okazałością. W Mohaczu już, dokąd cesarz Wilhelm przybył na pokładzie okrętu „Zofia", zgotowano świetne przyjęcie. Starszy żupan w przemowie swej dziękował, że potężny sprzymierzeniec króla węgierskiego zaszczycił komitat swą bytnością. Cesarz Wilhelm odpowiedział, że bardzo miłe dni spędził w tych stronach.

Z Mohacza pojechał cesarz Wilhelm koleją do Pesztu.

Ulice miasta przystrojone wspaniale. Szpaler od dworca aż do zamku królewskiego tworzył cały garnizon, stowarzyszenia, korporacye i młodzież szkolna.

Publiczności zebrało się na ulicach kilkaset tysięcy. Na dworcu oczekiwali arcyksiążęta, ministrowie, dostojnicy cywilni i wojskowi. Cesarz przybył na dworzec na kilka minut przed 10-tą. W drodze na dworzec witała Cesarza publiczność z wielkim zapałem.

O godzinie 10. przyjechał cesarz Wilhelm i przywitał się serdecznie z Cesarzem Franciszkiem Józefem i arcyksiążętami, poczem obaj monarchowie odbyli przegląd kompanii honorowej. Droga obu cesarzy z dworca do Zamku królewskiego była jednym szeregiem owacyi. W zamku powitał cesarza Wilhelma najwyższy marszałek ks. Lichtenstein i marszałek dworu węgierskiego hr. Apponyi, arcyksiężne czekały cesarskiego gościa na ostatnim stopniu schodów. W sali zwanej białą, oczekiwali minister hr. Gołuchowski, węgierscy chorążowie i inni dostojnicy dworscy. Przedstawienia odbyły się w sali błękitnej. Po przedstawieniach, udał się cesarz Wilhelm do swych apartamentów. O godzinie 3 odbędzie się obiad w ścisłem kółku, po obiedzie będzie cesarz Wilhelm zwiedzał miasto — o godzinie 8½ wieczorem odbędzie się raut.

Lwów 11 września. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 214.— do 217.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 282 — do 286.—. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 380.— do 390.—. Akcye garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 210.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 255.— do 265.

Listy zastawne za 100 zł: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat a 10 proc prem. 110.— do 110.70, 4 i pół proc. los. w 50 lat 100.— do 100.70, 4 proc. los. w 60 lat 96.60 do 97.30, Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 100.50 do 101.20, Banku kraj 4 proc. los. w 57 lat 97·50 do 98.20. Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 97·60 do 98.30. 4 proc. los. w 43 i pół latach 97.20 do 97·90, 4 proc. los. w 56 lat 96.70 do 97.40.

67)

KTO WINIEN?

POWIEŚĆ

przez

E. BRADDON.

(Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh).

(Ciąg dalszy).

— Sir Everard odprawił nas wszystkich bez wyjątku, zwijając dom — odparła Łucya. — Nie mówię tego, aby mu przyganić, bo był dobrym i hojnym panem dla mnie, jednak chcę, abyś pani wiedziała, że nigdy z własnej woli nie byłabym cię opuściła. Byłabym ci do ostatniego tchu mojego służyła wiernie i uczciwie, tak, jak służyłam twojej matce.

— Opowiedz mi wszystko o niej! — popędliwie zawołała Izia.

— Była to najśliczniejsza i najsłodsza istota, jaką widziałam w życiu. Dusza jej pięknością równała się twarzy.

— A czy była szczęśliwą... zupełnie szczęśliwą? — cicho zagadnęła córka.

— Droga pani, czy znałaś na świecie istotę ludzką zupełnie szczęśliwą? Była ona otoczona tem, co życie czyni jasnem i rozkosznem. Miała młodość i urodę, majątek, przyjaciół i ubóstwiającego ją męża.

— Ale pani, która byłaś przy niej tak blisko, musisz wiedzieć, czy to starczyło, by ją uszczęśliwić? Czy bardzo kochała mojego ojca?

— Podziwiała go i szanowała — wymijająco drżącym głosem odparła Łucya.

— Ale nie kochała go... nie był on mężem jej wyboru. Słyszałam o tem i odczułam to boleśnie. Przed ślubem kochała się w kim innym, nieprawdaż?

— Nie będę poruszała przeszłości przed tobą, pani. Matka twoja ufała mi i obchodziła się ze mną raczej jak z przyjaciółką, niż ze sługą. Więc to, co mogło dojść do mojej wiadomości, musi pozostać przy mnie tajemnicą do grobu.

— Rozumiem, nie powinnam była pytać pani o to — gorączkowo odparła Izia.

Więc plotki pani Aspinall nie były pozbawione podstawy. Sir Everard nie był wybranym serca jej matki. Był ktoś inny, odrzucony przez jej rodzinę, któremu oddała miłość swoją.

Łucya Greene rzuciła jej nagle pytanie:

— Czy prawda, że pani wychodzisz za pana Mortona Blake?

— Nie, małżeństwo nasze zostało zerwane.

— Jakże się cieszę z tego!

— Tak? I dlaczegożto, proszę? — z odcieniem wyniosłości zapytała Izia. — Cóż masz pani do zarzucenia panu Blakowi?

— Nic zgoła. Jest on dobrodziejem moim. Jego dobroci zawdzięczam, że ostatnie tygodnie mego nędznego życia spędzam w tem oto rozkosznem miejscu, otoczona staraniem i wygodą, że mam sługę, dach nad głową, i że dzieci moje mają co jeść. Ale nie sądzę, żebyś pani była znalazła szczęście w związku z Mortonem Blakem.

— Ojciec mój jest tego samego zdania — smutno odparła Izia.

— Chodź, Iziu — zawołała lady Fanny, wynurzając się z głębi parowu, w którym zbierała kwiaty od pół godziny. — Koszyk mój już pełen, a i twój zapewne także Czas nam wracać do domu na herbatę.

ROZDZIAŁ VI.

Nigdy za ludzkiej pamięci ubogi kościółek w Austhorpe nie wyglądał uroczyściej niż w ową przewodnią niedzielę po Wielkiejnocy. Wszystkie egzotyczne rośliny z sąsiednich dworów, wypożyczone na świąteczne przystrojenie ołtarzy, zwrócono właścicielom. Wielkie palmy i azalie pani Aspinall odwieziono do jej cieplarni, białe gardenie i tulipany Izi zdobiły napowrót panieńskie jej apartamenta, a jednak przybytek Boży nie stracił nic na usunięciu całej tej zbytkownej wystawy Ołtarz i chrzcielnica, pulpit i ambona umajone były świeżuchnym zielonym mchem, z pośród którego wykwitały pierwiosnki, fijołki i leśne sasanki. Podstawa chrzcielnicy tonęła w gąszczu narcyzów, których przeczysta biel odbijała od ciemnego granitu. Wieśniakom, którzy lubili te polne kwiaty, odkąd oczy ich i zmysły otworzyły się na piękność przyrody, prostota tego przystrojenia więcej przemawiała do serca, niż wspaniałość nieznanych egzotycznych krzewów. To też gdy po skończonem nabożeństwie ociągali się z wyjściem, aby się przyjrzeć dekoracyom, serca ich dziękczynnie zwracały się ku Stwórcy, który tyle piękna rozsiał dla prostaczków po ich lasach i łąkach rodzinnych.

Lady Fanny i Iza cały ranek w sobotę pracowały gorliwie, aby osiągnąć ten rezultat. Rozsądna córka lorda Blatchmardeana przyszła bowiem do przekonania, że jedynym środkiem rozerwania smutnych myśli Izy było zaprządz ręce jej i umysł do jakiejkolwiek pracy. Załatwiwszy się z dekoracyą, odkryła konieczną jakąś potrzebę jechania do Highclere po sprawunki i uprosiła przyjaciółkę, aby ją tam zawiozła zaraz po drugiem śniadaniu. Chodzenie po sklepach i jazda zajęły im całe popołudnie, Fanny bowiem uparła się wracać na Blatchmardean, aby się naocznie przekonać, jak się miewa kochany stary szeik i czy zdecydowany jest obejść się bez swojej jedynaczki jeszcze przez jaki tydzień lub dwa. Wróciły do domu na podwieczorek, który sir Everard, bez względu na zdrowie, spożywał razem z panienkami. Ale towarzyski ten posiłek stracił dawny swój poufny urok.

Izia nie zwieszała już swojej uśmiechniętej główki nad fotelem ojca, dozorując troskliwie jego potrzeb; nie siadywała u nóg jego, przytulona miłośnie do jego kolan. Przynosiła mu, jak zwykle, filiżankę herbaty i stawała obok z uszanowaniem, pytając, czy czego więcej nie potrzebuje, ale pieszczotliwa serdeczność jej obejścia znikła zupełnie i sir Everard czuł, że od chwili powrotu do Fairviev coś stanęło pomiędzy nim a tą umiłowaną nad wszystko córką. Siedząc wtulona w najciemniejszy kącik pod kominkiem, Iza przyłączała się grzecznie do rozmowy ojca z Fanią, ale znać było cały czas, że myśli jej błądziły gdzieś daleko, oderwane od chwili obecnej. Fanny zauważyła, iż była ona zawsze dziwnie zakłopotaną i jakby nieswoją w obecności ojca. Wydawała się o wiele swobodniejszą, gdy były we dwie razem.

— A jednak tak bezgranicznie kochała ojca. To dziwne!.. — rozmyślała Fanny. — Morton skarżył mi się niegdyś, że w sercu jej zajmuje podrzędne miejsce. Ale przypuszczam, że biedaczka nie może zapomnieć sir Everardowi zerwania jej małżeństwa. Te łagodne, miękkie, dziewczęce natury posiadają niekiedy dziwną odporność. Ach! żeby ona chciała się zakochać w Bevillu i położyć raz koniec całej tej biedzie! Ale czy kiedy przyjdzie do tego? Wątpię.

* * *

Szmer powstał wśród dziatwy, a bezwiedny dreszcz wzruszenia przeszył piersi starszych, gdy nauczycielka wiejska uderzyła pierwsze akordy na fisharmonii, a oczy całego zgromadzenia zwróciły się wyczekująco na drzwi zakrystyi, w których za chwilę miał się ukazać nowy proboszcz.

Oprócz kościelnego, pana Gomersalla, nikt prawie nie widział go dotąd. Nie wiedziano więc wcale, jak wygląda, czy był młody, czy stary. Ci, którzy najbardziej zainteresowani byli jego przybyciem, jako wypadkiem, który zamącił stojące wody wiejskiego życia, wysilali wyobraźnię swoją, aby go sobie odmalować we właściwem świetle Nikt jednak z góry nie wiedział, czego się napewno trzymać.

Akordy fisharmonii rosły i potężniały, zwiastując ukazanie się nowego przybysza. Musiał on schylić nieco wysoką swoją postać, przechodząc pod kamiennem sklepieniem drzwi, a gdy wyprostował się i podniósł głowę, jednym bystrym rzutem oka ogarniając całe zgromadzenie, parafianie jego zrozumieli od razu, że nowy pasterz ich dusz nie był pospolitym człowiekiem.

Wyglądał on na trzydziestopięcioletniego mężczyznę, był wysokiego wzrostu, szeroki w ramionach, trzymał się prosto i twarz miał nacechowaną wielką szlachetnością i powagą. Oczy miał ciemno siwe i cerę bladą od nadmiaru pracy i braku zdrowia. Robił wrażenie człowieka, stworzonego na to, aby rozkazywać tłumom; to też parafianie uczuli od razu, że właściwe jego miejsce nie jest w zapadłej wiosce, ale raczej na katedrze biskupiej. Jednem słowem szkoda go było dla Austhorpe.

— Nie wytrzyma nigdy w takiej dziurze — zawyrokowała mistress Gomersall, paradując przed sąsiadkami w różowym kapeluszu z zielonemi wstążkami.

Pan Haldimond wolnym krokiem podszedł do pulpitu, spojrzał z przyjemnością na fiołki i sasanki, kryjące się w zieleni puszystych mchów, potem raz jeszcze wzrokiem objął cały kościół i spostrzegł siedzące obok siebie w kolatorskiej ławce: bladą, smukłą, jasnowłosą dziewczynę, z oczyma spuszczonemi na książkę do nabożeństwa i brunetkę o żywem spojrzeniu i smagłej twarzy. Zastanowiło go, kto mogły być te dwie istoty, tak niepodobne do siebie i tak odrębne od reszty zgromadzenia. Pani Aspinal, impertynencko chłodna, jak zazwyczaj, badała nowego przybysza przez złotą lornetkę. Sir Everard, który towarzyszył córce i lady Fanny do kościoła, wyglądał na bardzo chorego i stroskanego, co pani Aspinal zauważyła nawet bez pomocy szkieł.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Fiałkowskich w Białej. Drukarnia nar. St. Maniecki i Spółka. Hotel Żorza. Zarządca W. Hodak.